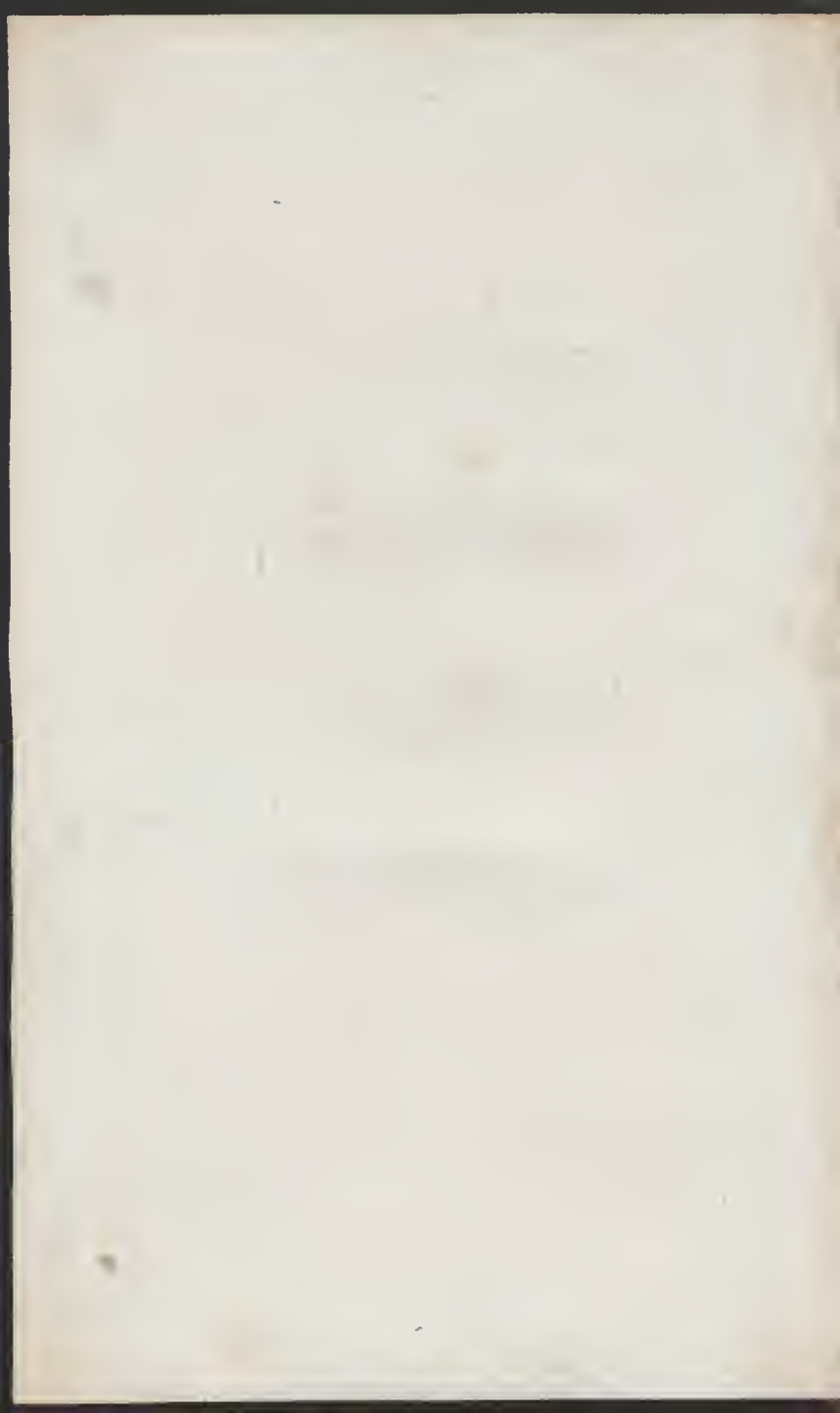


# **S Z K I C E**

**OBYCZAJOWE I HISTORYCZNE.**

*(Każda powieść tego zbioru sprzedaje się osobno.)*



**SZKICE  
OBYCZAJOWE  
I HISTORYCZNE.**

**(J. O. KRASZEWSKIEGO.)**

**ODDZIAŁ DRUGI.**

**Powieść ósma.**



**Wydanie Adama Zawadzkiego.**

---

**W I L N O.**

**NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.**

  
**1841.**

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno. 1841 rok 29 Jnnij.

*Cenzor, Professor b. Uniwersytetu Wileńskiego  
Radzca Kollegialny i Kawaler*

JAN WASZKIEWICZ.



**OSTATNIA**  
**Z XIAŻAĆ SŁUCKICH.**







*Летопись Озёрского*

**OSTATNIA**  
**Z XIAŻĄT SŁUCKICH.**  
**KRONIKA**

**z czasów Zygmunta trzeciego**

**PRZEZ**

**J. I. Kraszewskiego.**

**z trzema rycinami.**

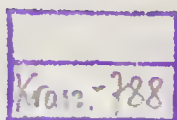


**W I L N O.**

**NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.**

---

**1 8 4 1.**

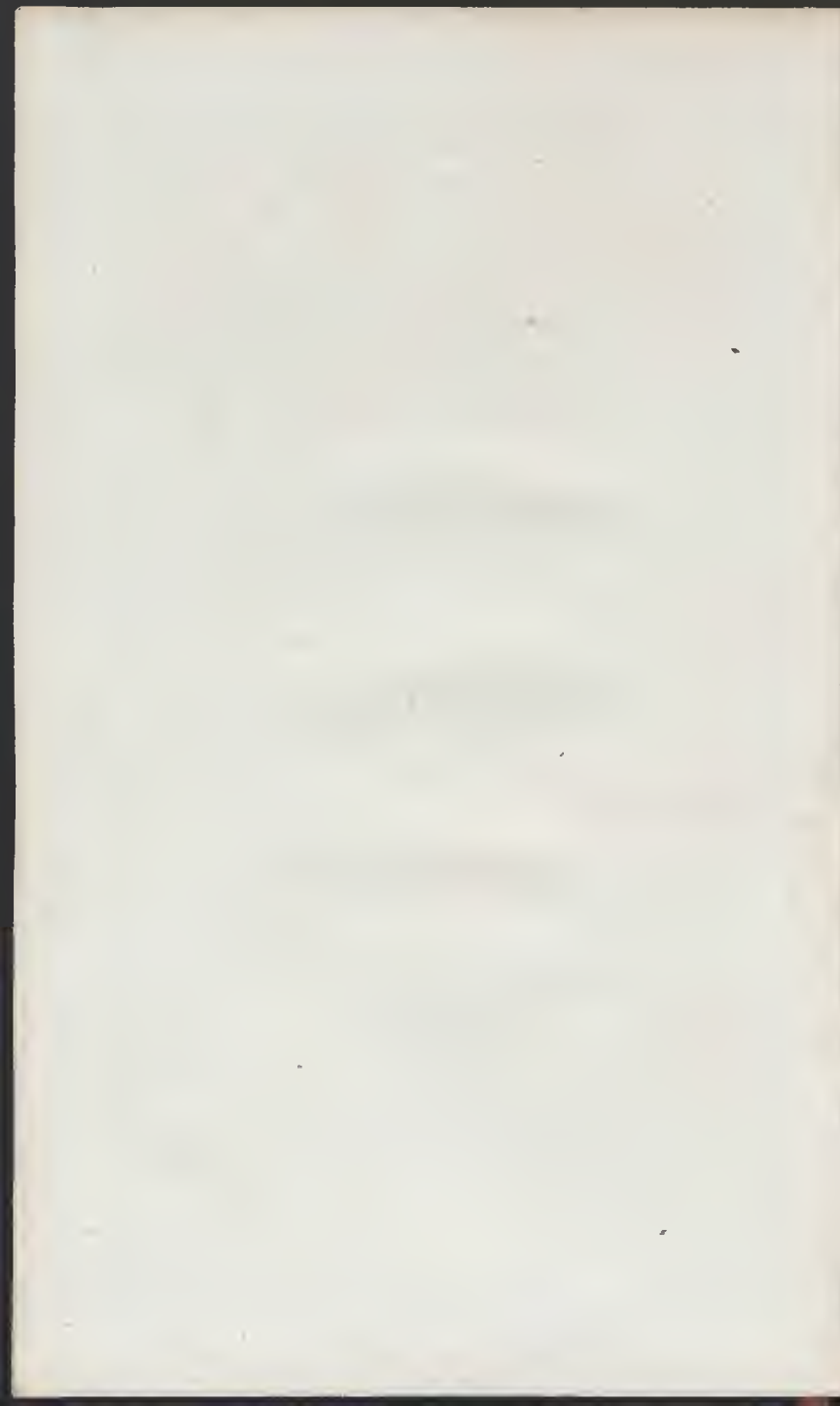


III nr inv. - 790

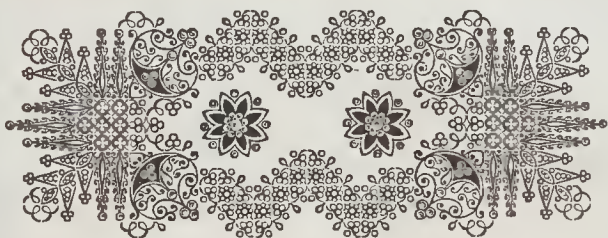


**I.**

**Piąty Lutego.**








## I.

### Piąty Lutego.



 **AZAJUTRZ** rano dopióro Xiądz Biskup z dwóma Zawiszami i Marszałkiem Dorohostajskim, udał się do Radziwiłła.

Przyjął ich Wojewoda ze wszelką czcią

nalęzną, ale wyraźnie ozięble. Oddane sobie listy Królewskie odczytywał i zaraz na nie odpowiedział Biskupowi.

— Jego Królewska Mość, wielkiej łaski swój dowód nam daje, chcąc wejść w to, aby zgodę uczynić, wszelako nie jest to sprawa, którąby rozkaz mógł rozstrzygnąć, i my najlepiej tylko wiemy, jak ją ukończyć. Cudza rana nikomu nie boli, więc radby przykazać aby nie jęzcć. Cóż kiedy choremu dolega?

— Xiążę Wojewodo, odparł Biskup poważnie i łagodnie—wasze rany znane są Królowi Jego Mości; nie rozkazuje on dotąd, ale radzi i życzy, abyście z osobistej sprawy, nie wszczęli w kraju wojny domowej. Do was najsilniej odzywamy się, bo Wy, Panie Wojewodo piérwsi jeliście spisywać wojsko, dając przykład szkodliwy—

Wojewoda przerwał.

— Moja to rzecz, i nikomu się w to nie mieszać — odpowiedział — Rady Jego Królewskiej Mości z wdzięcznością przyjmuję, ale jak mam postąpić, mój mi honor obrażony podyktuje sam i jego tylko słuchać będę.

— Posłuchajcież i tych, którzy W. X. Mości dobrze życzą, rzekł Dorohostajski. Juściż tu na jego szkodę, upokorzenie nikt nie godzi. Co się czyni, czyni się, jak mówią, aby był i wilk syty i koza cała. Możnać przecie znaleźć środek między Waszemi Panie Wojewodo i Chodkiewiczów żądaniami pozwólcie przynajmniej poprobować, nie na tém nie straciecie.

— Tak, dodał Zawisza, wszakże W. X. Mość nikt nie musi i nie pociąga gwałtownie. Co się uczyni, uczyni się z dobrej woli— Azaliż Panie Wojewodo, nawet probować zgody nie zechcecie?

— Ja jój całą duszą pragnę! zawołał Radziwiłł, ja jój sam życzę— ale zgody na słusznych warunkach, które ja sam podam, bez których dopełnienia, nie nie uczynicie W. Mość.

— Pozwólcież nam wiedzieć, spytał Biskup, jakie są wasze warunki?

— Napróżno będę je wyprowadzał na plac, odrzekł dumnie Wojewoda, Chodkiewicze ich nie przyjmą— Oni to oni, najdalsi od pojednania i zgody; oni szukają tylko przyczyn

do wojny, oni gdybyśmy im ustępowali nawet, nie będą radzi póty, aż zmuszą do nie-szczęśliwej wojny! Tak, tak! czemuż odpychają mnie ciągle, czemu gdym ostatnią razą, uprosił dwónastu Panów Senatorów na pośredników, gdym się zniżył do przedstawień i prośb, odpowiedzieli tylko — wzgardliwém odrzuceniem podanej im już ręki. Drugi raz nie wyprowadzą mnie na to, abym jakikolwiek krok uczynił.

— Agdyby teraz oni uczynili ku Wam krok jaki, Xiążę Wojewodo — rzekł Jan Zawisza.

— Oni! oni tego nie uczynią! zawołał X. Janusz przytomny.

— Nie dość ich widać znacie, odpowiedział powolnie Biskup. Oto i my Wam przynieśli od nich właśnie warunki, a warunki słuszne i uczciwe, którym nie zarzucić nie można, które Was nie upokorzą, ani pokrzywdzą, jeśli je przyjąć zechcecie.

Wojewoda z synem spojrzeli po sobie, za ledwie wierząc słowom Biskupa, w ich twarzach malowało się podziwienie z trochę wzgar-

dy. Milczeli oczekując położenia na stół warunków zapowiedzianych.

— Ciekawiśmy powolności PP. Chodkiewiczów ku nam! rzekł wreszcie dumnie spoziérając na Kommissarzy Wojewoda.

A Jan Zawisza dobył ceduły i podał ją Xięciu Radziwiłłowi.

Chwycił on to pismo skwapliwie, i czytać począł, a X. Janusz za nim stojąc, zarówno z ojcem przebiegał oczyma. Łatwo było z malujących się uczuć, na fizjonomjach obu, poznać jak przyjmą podane sobie propozycje zgody. Brew Wojewody marszczyła się, oczy zmrużały, usta mu drżały, ramionami poruszał. Syn mniej okazał oburzenia, a więcéj dumy czytając. Przebiegłszy oczyma cedułę rzucił ją ojciec synowi z uśmiechem mówiąc.

— Naści, spójrz Wasze na traktat Chodkiewiczowski! Zaiste, przewyborne warunki! mówił daléj. Ale do czegoż prowadzą, gdzie powolność, gdzie słuszność sama? Przecież łaskawie dózwalają X. Januszowi przystępu do Xiężnój Zofji, któregośmy dotąd wyprosić nie mogli! I to jedno ma walor jakikol-

wiek. Reszta to szyderstwo tylko! Oddać im oblige i zapisy, pokassować processa, zdać się na łaskę, zdać się na przyjaciół, kłaść głowę pod miecz, gdy w mocy naszój same-mu sprawiedliwość sobie wymierzyć! — I czekać jeszcze ze ślubem do dyspens Papięża! Mnie na nic Wasz Papięż i jego pozwolenie nie potrzebne, z Waszém przeproszeniem, Mości Xiężu!

Gedrojć pochylił głowę i zamilkł, zdawał się w milczeniu, prosić Boga o upamiętanie dla obłąkanych. Jan Zawisza odezwał się tylko.

— Zdanie sprawy na przyjaciół, nie wydaje nam się, ani tak dziwném, ani tak groźném, jak Wam Mości Xiężu.

A co się tyczy sprawiedliwości, którą sami sobie wymierzyć chcecie, wiercie mi, jeszcze nie było takiego Anioła na ziemi, któryby swego sumienia nie podając naszwank, mógł być Sędzią własnej sprawy. Szanując Was, Panie Wojewodo, jako dobrze życzyliwy. —

Wojewoda się skrzywił.

— Jako dobrze życzliwy, kończył nieuważając Zawisza, nie doradzałbym samemu w gniewie, rozsądzać między sobą, a nieprzyjaciółmi swemi. Cóż dopiero, gdy ten sąd, ma być sądem miecza i wojną?

— Rzucacie nam nieustannie wojną woczy, przerwał Radziwiłł, aleć my tylko zmuszeni i w ostateczności, do niej się dopiero porwiem. Ani sobie, ani Litwie, ani nikomu jój nic życzym.

— Dajcież dowody tego, rzekł Biskup, pokażcie chociażby intencje zgody, choć ściczkę którą do niej dójść można?

— Niech zadość uczynią obligom i przyrzeczeniom swoim, a stanie pokój i zgoda— zawołał Wojewoda— Naówczas je poniszczym, processa skassujem i koniec wszystkiemu.

— A jeśli wedle sumienia swego, w zupełności natychmiast uczynić zadość umowom nie mogą, bo je widzą prawom przeciwne? spytał Zawisza.

— Na cóż się pisali do nich, ś. p. Starosta Żmudzki i Kasztellan? odrzekł X. Janusz. Wszakże to było dobrowolném.

Umilkli; Gedrojć ozwał się po chwili.

— Więc żadnym sposobem tych warunków przyjąć nie możecie? Xiążę Wojewodo.

— Są to szyderskie propozycje! odrzekł Radziwiłł prędko, wiedzieli oni podając je, iż przyjęte nie będą! Wszakże jedno w nich tylko widziemy dozwoleństwo bywania u Xiężnej dla X. Janusza, na które jak na lep złapać nas chcieli. Resztę chyba zwyciężony, nie zaś gotujący się zwyciężyć, przyjąć by mógł.

— Podajcież swoje ultimatum, rzekł Zawisza zbliżając się do Xięcia.

— To na próżno! odpowiedział Wojewoda.

— Sprobujeie, dodał Dorohostajski.

— W imię dobra kraju i spokojności jego, prosimy Was o to, rzekł Biskup, położcie warunki Wasze. — Wszak to Wam uwłaczać nie może, mieliście wprzód podane sobie od PP. Chodkiewiczów kondycje, ukażcież swoje.

Radziwiłłowie spojrzeli po sobie i Wojewoda nie odpowiadał, z synem i P. Zenowiczem Wojewodą Brzeskim jął się naradzać. Nadszedł do rady P. Abramowicz Wo-



jewoda Smoleński i Lew Sapieha. Tym czasem posłowie w milczeniu oczekiwali końca. Lew Sapieha jak zawsze tak i teraz przyjaciel zgody i pokoju, gorąco umawiał teścia, aby słuszne podał warunki i nie uchylał się od zgody, gdyby ta możliwą się okazała. Nareszcie Wojewoda dał się pożyć i wyszedł do Kommissarzy z propozycjami od siebie.

— Chcieliście, macie więc WMość ultimatum moje, i zaprawdę, jeśli się pilnie zastanowicie nad niem, przyznacie mi większą od PP. Chodkiewiczów powolność i chęć zgody.— Co słuszna przyzwalam na wszystko; co słuszna wszystko ze szkodą nawet swoją uczynię— Wierzcie WMość, ja chcę zgody, nie wojny, ale zgody bez upokorzenia, zgody bez szkody! — Oto moje warunki.

„Jeśli Kasztellan czuje się i rozumie przeze mnie obrażonym w osobie swój, jeśli i przyjaciele wspólni uznają że tak jest, gotowem jak być może najuroczyściej, z ochroną wszakże familji i osoby mojej, chętnie go przejednać. Co się tyczy szkód i strat jakie ponieśli PP. Chodkiewiczowie przez zaciągi żołnierza, proces-

sa, nie odmawiam słusznego wynagrodzenia, i ze swych bodaj majątności przyłożę się, do zatarcia śladów tój oplakanój sprawy. Małoli mojego słowa i przyrzeczenia, użyję dla większej pewności teścia mojego Xięcia Wojewodę Kijowskiego i szwagra Xięcia Kasztelana Krakowskiego, aby za mnie poręczyli, że dopełnię co przyrzekam.— A zgodali na te kondycje, więc natychmiast wesele nie zwłóczyć!

Mówił i obejrzał się na Biskupa, któren przyjął te słowa spokojnie i bez zadziwienia.

—Dziękujemy W. X. Mości, za tę powolność, jakąście na prośby nasze okazali, rzekł po chwili, poniesiemy te warunki PP. Chodkiewiczom i dołożym starań wszelkich, aby je przyjęli. Nie taim jednak, iż nie zdadzą się pewnie dostatecznemi. Teraz jeszcze raz serdeczne dzięki Wojewodo.

Radziwiłł skłonił nieco głowy.

—Małożli jeszcze ze mnie? spytał. Wejdźcie w to co czynię, i w położenie moje, gdy pewien swego, a uznacie, że czynię bardzo wiele.

Nikt na to nie odpowiedział, a Jan Zawisza postąpił sam ku Wojewodzie z pismem w ręku.

— Aby zbliżyć W. X. Mość z PP. Chodkiewiczami, nie dość myślę, warunków z obu stron podawanych, zwłaszcza, gdy nikt nie ustąpić nie chce i na oko powolność okazując, przy swoim stoi. Pozwól W. X. Mość, nam pośrednikom w imieniu J. Królewskiej Mości działającym, nasze mu podać, a raczej królewskie propozycje. Jeszcze o nich nie spełna, nie wiedzą PP. Chodkiewiczowie, którym ich nie ukazywaliśmy, chcemy abyś W. X. Mość wprzód je widział i osądził, azali na nie przystać możesz. Podaliśmy warunki pierwsze, jako medjatorowie, przynosząc co nam dano, te zaś pokładamy W. X. Mości, nie od PP. Chodkiewiczów, nie od siebie, ale od Jego Królewskiej Mości.

Wojewoda wyciągnął rękę po papier i chwycił go skwapliwie, w twarzy jego jednak niedowierzanie jakieś i szyderstwo zimne świeciły.

— Od Jego Królewskiej Mości! powtórzył,

to toż samo co od PP. Chodkiewiczów, znamy jak serce Pańskie skłonne jest dla nich.

— Równy dla wszystkich — rzekł Biskup. Wszyscy poddani równi są w oczach i sercu J. K. Mości.

— Równi! powtórzył Radziwiłł — bodajby! Bięda że nie tak jest. J. K. Mość chce, aby wszystkie jego dzieci jednakowo się modliły, poszcząc Piątek i Sobotę!

— Cóż w tém złego i dziwnego! podchwycił Zawisza — każdy swoją wiarę ma za najlepszą, bez tego nie miałby prawdziwej wiary — Mając ją za taką, z prawdziwej tylko przychyłności, usiłuje wszystkich na najlepszą zwrócić drogę.

Wojewoda się uśmiechnął.

— Czytajmy cedulę, rzekł.

I czytał co następuje.

— Sprawa cała ma być zawieszona do Sejmu! Na Sejmie ma być wyznaczony dzień i miejsce, na których z obu stron naznaczona pewna liczba przyjaciół, do rozstrzygnięcia o krzywdach, sprawach poczętych i pretensjach wzajemnych, dla zaspokojenia ich w cza-

sie zamierzonym. Jeśliby zaś przyjaciele w czasie zamierzonym zgody uczynić nie potrafili, tedy to wszystko J. K. Mość jako superarbitr, w przytomności tychże przyjaciół na tydzień przed skończeniem Sejmu zdecyduje. Na decyzji J. K. Mości, obie strony poprzestać mają. Tym czasem zaś złożywszy broń rozjechać się spokojnie, żadnej zaczepki nie czyniąc. Nim zaś Sejm nastąpi Kasztellan żadnej obietnicy o rękę Xiężnój, nikomu nie uczyni; a przystęp do niej ma być wolny Xięciu Januszowi.

— Na niektóre punkta, odpowiedział zaraz Wojewoda, ale na niektóre tylko, mógłbym przystać, na resztę nie podobna. A mianowicie, ażebym sprawę swoją na przyjaciół, albo na Króla zdawał! Na Króla, którego całém sercem i duszą za PP. Chodkiewiczami i za niemi pewnie osądzi! Na przyjaciół, którzy nie czują co ja czuję i w których oczach lżejsza zgoda, bo ich jak nas nie boli nic. Nigdy! nigdy, nie mogę na to przystać! Prędzej już na wszelkie inne, niż na te propozycje, które by mi ręce związały,

miecz z ręki wytrąciły i bezbronnego nieprzyjaciółom oddały, na upokorzenie i szkodę niechybną.

Nie śmieli nic powiedzieć przytomni; Wojewoda ciągle powtarzał trzęsąc papierem — Nigdy! nigdy!

Widząc, że nie poczną Panowie Kommissarze, mieli się do wyjścia, wzięwszy tylko podane już na piśmie warunki Wojewody, z którymi poszli do PP. Chodkiewiczów.

Xiąże Gedrojc nie chciał na chwilę spocząć, póki by spokojności nie zapewnił i nie dokazał swém pośrednictwem przynajmniej zawieszenia broni. Śpieszył się tćm bardziej, im widocznićszćm było, że nazajutrz Radziwiłłowie rozpocząć mieli, może niczćm potćm niewynagrodzoną wojnę i długi szereg klęsk na kraj sprowadzić mającą.

Powiększał obawę rzut oka na dwór Radziwiłłowski, cały pod bronią krzątający się, cały wojną tchnący — Kardynałja pełna była żołdactwa, rotmistrzów, pólkowników; zawałone dziedzińce stosami zbroi i broni — W każdym kącie szcceptano i naradzano się.

Nieustannie wychodzący na szpiegi, podkra-  
dali się pod kamienicę Chodkiewiczowską, o-  
patrywali, badali i powracali z doniesienia-  
mi nazad.

Przeciwnie u Chodkiewiczów, jak tylko  
działa i wojsko wprowadzone zostały, wszyst-  
ko umilkło i zawarło się. Bramy cały dzień  
stały zaparte, załoga w milczeniu spoczywa-  
ła. Mało kiedy szmer lub hałas (z dziedziń-  
ców wylatywał na ulicę. Przechodzący dziwili  
się téj pozornéj spokojności w wigilją wojny,  
któręj tu nic nie okazywało, chyba że kilka  
dział, stojących przed wrotami w ulicy, przy  
których mała straż tylko zostawiona była.

Natychmiast wyszedłszy z Kardynalji, uda-  
li się Panowie posłowie do Chodkiewiczów,  
niosąc podwójne propozycje, swoje warunki  
i Radziwiłłowskie. Przyjęci i wprowadzeni  
zostali do Kasztellana, gdzie Starosta Żmudz-  
ki, Starosta Borysowski i Wojewoda Mni-  
szech przytomni byli także.

Podano na stół odpowiedź Radziwiłłów,  
zimno przez Chodkiewiczów przyjętą.

— Wiedziciłśmy, że tak będzie, rzekł

Kasztellan, nie chcą zgody; dziej się wola Boża.

— Wola Boża pewnie nie jest za wojną, odrzekł Biskup. Na miłość ukrzyżowanego ulitujcie się nad Krajem, starajcie się nie dopuścić wojny. Pomiarkujcie czyli podane przez Radziwiłłów warunki, nie mogą żadną miarą być przyjęte. One zdają się niemiędzliwe?

— Nie możemy ich przyjąć, rzekł Jan Karol, żadnym sposobem.

— Dla czegoż? — spytał Zawisza z Dorohostajskim, wszakże szkody wynagrodzić obiecuje Wojewoda, a nie dość tój obietnicy jego — stawi za siebie poręczycieli.

— Wiedział, że mu wiary nie damy! dodał Kasztellan. Ale to wszystko nie, niech powróci zapisy i obligi, niech processa skasuje, niech szkody nagrodzi.

— Wszystko to w jednej chwili stać się nie może — dorzucił Dorohostajski. —

— Może, i bardzo może, odpowiedział Kasztellan, byleby Wojewoda szczerze chciał. Lecz to są tylko pozory, Radziwiłłowie pra-



gną wojny, oni nie darmo zgromadzili sześć tysięcy ludzi, chcą zaburzenia, chcą przyjeżdżnym ogniu i swoją sprawę i sprawę różnowierców Konfederacji upieć — To widoczna.

— Tym ci bardziej trzeba się starać o zgodę — rzekł Biskup. Oto są warunki od nas J. R. Mości Kommissarzy podane. I z tém ukazano pismo, jakie wprzód Wojewodzie Radziwiłłowi przedstawione było. Lecz Chodkiewiczowie, nie już na kilka, ale na żaden z podanych punktów nie przystali.

— Spuścilibyśmy się chętnie na sąd J. R. Mości, rzekł Jan Karol, ale nieprzyjaciele nasi powiedzą, żeśmy ich z umysłu pociągnęli przed Sędziego, dla nas więcéj, niż dla nich skłonnego. Co się tycze przyjaciół, ci nas rozsądzić nie potrafią, oni nie wiedzą ani wiedzieć mogą, co nas dzieli i ileśmy obrażeni — My swoich uraz, swojego cierpienia pokładać i przypominać nie będziemy, nie chcemy. Niech rozstrzyga oręż, jak dawniej bywało — będzie to najlepszy Sąd Boży!

Napróżno nalegali, przedstawiali, prosili godzin kilka Kommissarze, napróżno każde-

go z osobna 'starali się pokonać. Chodkiewicze stali twardo przy swoim, a Jan Karol powtarzał.

— Chcą wojny, niech wojnę poezną, na ich duszę krew wylana — my za nią przed Bogiem nie odpowiemy. Pokrzywdzeni przed Sądami, pociągnięni przed Trybunały, najniesłuszniej skazani na kary pieniężne, zagrożeni banniejami; widzi Bóg cośmy przecierpieli, i Bóg to chyba nagrodzi.

— Xiążę Wojewoda chce Was przejednać, rzekł Dorohostajski, chce szkody nagrodzić!

— Jak przejednać! zawołał Jan Karol, jak? powieć nam — wybaczajcie! kiwnie głową i to wszystko? Na klęczkach nas przebłagać powinien.

— Panie Starosto, chrześcijańska rzecz darować urazy.

— Darowuję mu je przed Bogiem, ale nie daruję przed światem. Cóż byłoby dalej, gdybyśmy na to dozwolili i zimném przeproszeniem kontentowali się. W co by się obróciła pocziwa nasza sława? — jaka zakala imieniowi i familji. Dzieci nasze wstydzily-

by się nosić nazwiska pokalanego sromotną unizonością. W niedalekim czasie, powiedzianoby o nas, żeśmy przyjęli, co nam z łaski rzucono, bośmy się zlekli. Ale nie, prócz jednego Boga, nikogo się nie boim! Chcą wojny, nie zadrżym i my przed nią, dostoim placu — Panom Konfederatom.

Do późnej nocy trwały prawie umowy, przekonywania bezskuteczne. Kommissarze napróżno starali się przed terminem ugodę uczynić, napróżno wysilali się na różne przełamania sposoby, Kasztellan i Jan Karol, pozostali nieugięci.

Smutny wyjechał z kamienicy Chodkiewiczowskiej Biskup Gedrojć —

— Czyniliśmy co mogli, rzekł do Zawiszów, wszystko napróżno — Jutro dzień straszny i nasze miejsce przy boku Wojewody, aby mu nie dać podnieść oręża. Staniem jeśli będzie potrzeba, między niemi, piersią do ich dział, i niech strzelają jeśli chcą. — Pozwolicz na takie w kraju zamięszanie, na tak zgubny przykład?

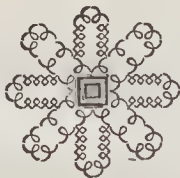
— Nie powinniśmy dozwoić, odparł Za-

wisza, a czy nas słuchać zechcą, to wątpliwa.

— My o tém nie myślmy — przerwał Biskup — Jutro rano do Wojewody i cały dzień ten przy nim — nie ustępujemy krokiem. W imieniu Królewskiem zaprzeczym wzięciu się do broni; nie odstępim od nich na krok, może też wstyd zbawienny przyjdzie.

— Co daj Boże! dorzucił Dorohostajski, gorzej tu widzę zajątrzone obie strony, niżeli się spodziéwać było można. A! co ma być, to będzie!

I tak rozjechali się.



## **II.**

**W gospodzie Malcherowej.**





## II.

### W gospodzie Malcherowój.



**N**APRZECIW kamienicy Chodkiewiczowskiej, był szynk miodu i wina Pana Malchera, jeden z najbardziej uczęszczanych w mieście.— Teraz on pełen i nabitý różne-

go rodzaju ludzi; ścisk w nim i wrzawa największa, wszystkie izby zajęte, wszystkie stoły poobsiadane, ławki, zydle i stołki pozajmowane; ledwie się przez ciżbę przecisnąć można, ledwie dać słyszeć wśród wrzawy. Tam się zabięra na bójkę i do szabel się już mają, na bakier czapki nastawiwszy, kręcąc wiasa i przeciw sobie stojąc. Ówdzie niesłychana przyjaźń, uściski gorące i do łez rozczulenie nad dzbanem. Tam po kątach szepoty jakies tajemnicze; a zewsząd słyhać wołania.

— P. Malcher butel miodu Rowieńskiego!

— Podajcie tu wina!

— Dwa kubki dla nas!

— Grzanego z korzeniem tutaj!

— Nastąpiłeś mi Wasze na połę!

— Nie tykaj mnie Mości Panie —

— Ustap się do kroćset, bo cię zamaluje po łbu.

I tym podobnie.

Wśród izby trzaskący ogień na koninie rozłożystym, obsiedli go wkoło żołdacy i gwarzą i śmieją się i w kości grają. Dalej kilku



nad kartami, a drugie tyle widzów; w innym kącie jakieś ciekawe opowiadanie, któremu nleha nadstawia słuchaczów koło.

W ciemnym kącie izby, siedział P. Brożek, cmokał on nad kubkiem kwaśnego wina i wzdychał, nie mogąc zapomnieć owego ducha, owęj wróżby śmierci, której starał się wspomnienie w winie utopić.

— Za co umierać, dla czego umierać? mówił do siebie — Czyżem ja tak już się nażył na świecie, czym tak nabroił, czym tak nagrzeszył? Zdaje się że nie — Czym ja tak bardzo na tym świecie potrzebny, albo już tu tak na nie się nie zdał? Dalipan, ja tego nie rozumiem.

A w miarę jak kubka dopijał, pocieszał się i dodawał sobie śmiałości.

— To być nie może ażebym ja umarł! Ja czuję życie w sobie! Jestem silny i zdrow. Nie koniecznie bo ten duch, śmierć ma znać. Może to inna przestroga; a może mi się to wszystko tylko przydało. Boć wszyscy mówią że to czyste brednie i nikt wierzyć nie chce. Ale już taki że widziałem ducha, to widziałem, i nie byłem pijany, to pewna.

Gdy tak z sobą sam rozprawia i rozmyśla, ujrzał Pan Brożek wchodzącego do gospody Tomiłę i uśmiechnawszy się powstał z zydelka, spiesząc przeciw niemu.

— Witajcie! czekam na Was!

— Bóg zapłać, umyślnie też do was spieszyłem, aby się zobaczyć i pogadać. Mam do WMOści pilną potrzebę.

— Jaką? spytał Brożek, jeżeli pieniędzy to dalipan zgóry powiadam, szeląga przy duszy nie mam. Ostatni talar dałem na mszę niedawno, a jurgieltu nieprędko zobaczymy, bo teraz jest go komu płacić, dworscy poczekać muszą.

— O! wcale nie o to chodzi, rzekł Tomiło, nie wiem tylko, jakby to Wam wytłumaczyć.

— No, a cóż to takiego! To jakieś do licha mądre rzeczy myślicie mi prawić.

Tomiło zamilkł.

— A naprzód, rzekł, zapijmy tę sprawę, wino język rozwiąże mnie, a Wam serce?

— He? spytał Brożek — to tu do téj sprawy i serce potrzebne?

— Trochę — śmiejąc się szepnął Tomiło i zawołał na gospodarza.

— Panie Malcherze, dobrego wina kwartę!

— Wnet, wnet! zaraz.

Po dobrej chwili przynieśli wino, a Tomiło dopiero podpoiwszy Brożka, jął mu pokładać sprawę swoją.

— Jest rzecz taka — Chcecié zarobić kilka czerwonych złotych węgierskich?

— Z duszy serca! zawołał Brożek — kieszeń moja pusta, a łokcie przynajmniej u codziennej sukni powyciérane. Jeśli tylko zarobek uczciwy i sumienia nie naruszy.

— Waszmości sumienie nawet o tym zarobku wiedzieć nic nie będzie — rzek Tomiło — Cała rzecz —

— A nuż mówcie, nie dręczcie dalej!

— Cała rzecz, abyście mnie do Waszój kamienicy wprowadzili i z niej nazad wywieźli. —

— Co? co? przysłuchując się szepcaniu coraz niewyraźniejszemu Tomiły, zapytał Brożek — Na co? jak to?

— Ani na co, ani jak, nie powiem, bo  
Tom III.

Wam tego wiedziećcale nie potrzeba — Zrobicie to czy nie?

Brożek tak się zamyślił, że o poczętym kubku zapomniał.

— Hm! hm! rzekł po chwilce, coś bo to zdradą pachnie. Powiedźcie mi Waś, coś za jeden. Ja dotąd nie pytałem o to — At, myślę, pocziwc chłopczysko jakieś, i po wszystkiém. Ale teraz, musicieź mi powiedzieć przynajmnieij, co zacz jesteście, i dla czego chcielibyście zajrzeć do naszej kamienicy?

— A koniecznie chcecie to wiedzieć? spytał Tomiło. —

— Juściż muszę — rzekł Brożek.

— No pijcież jeszcze, a ja Wam wszystko już powiem.

— Całą prawdę —

— Z końca w koniec, uważajcie tylko, aby nas kto nie podsłuchał. Do Was Panie Brożek.

— Wasze zdrowie!

— Ja jestem, ubogi krewpy, daleki JMPana Kanclerza! —

— Co Waś mówisz?

— Istna prawda — nie mieszając się odpowiedział Tomiło, i na jego dworze, kończył dalej, zajmując pewne miejsce znaczne.

— Wasz Pan Kanclerz, przeciw nam, przerwał Brożek kiwając głową — zięć Wojewody!

— Ależ Katolik.

— Nu Katolik! to prawda — A pocóż W. Mości do kamienicy?

— A powiedzieć Wam prawdę —

— Toć bo tego i chcę i czekam. —

— Do Was, Panie Brożek. —

— Prze zdrowie Wasze, Panie — A jak się zowieć?

— Ja? rzekł Tomiło. —

— Wy? spytał Brożek. —

— Zowie się — pójcie bo, pójcie — nie dokończyliście Waszego kubka. —

— Wasz jeszcze niedolévany — ani razu, mój dwa — Ale jakże się zowieć, mieliście powiedzieć, kończcie. —

— Zowie się — Tomiło szukał sobie po głowie nazwisko — Hreczyna. —

— Hreczyna? a imię?

— Jan — (niech będzie Jan) rzekł w du-

chu, tylko nie mianujcie mnie tu w gospo-  
dzie po nazwisku, dodał cicho.

—No, no, będę się starał, Panie Hreczy-  
no. A interess Wasz do kamienicy naszój—

—Tomilo szepnął mu na ucho.—

—Czarne oczy!

—Co? oczy? jakto oczy?

—Miłuję tam u Was w fraucymerze Xię-  
żnej jedną dziewczynę i chciałbym ją zo-  
baczyć—

—Powiedziecież no tylko jaką—rzekł Bro-  
żek śmiejąc się, ja znam je wszystkie. Po-  
syłają mnie raz wraz, to za tém, to za o-  
wém na miasto. Jak jój imię?—

—Jak imię? podchwycił Tomilo skrobiąc  
się w głowę—Ale bo Wy nie pijecie P. Bro-  
żek. Do Was.—

—Zdrowie Wasze Panie Hreczyna!

—Cyt, z tém nazwiskiem!

—Prawda, prawda! A jak jój imię?

—Zgadujcie!

—Ale ba, tam ich kopa tych panien, a  
wszystkie jak łatki—kto zgadnie, która Wam  
w oczy wpadła.—

— A spróbujcie.

— Może Panna Małgorzata, wysoka brunetka? tylko że blada. —

— Nie, nie ta. —

— Wesoła Juljanna?

— Hm?

— Tłusta, mała blondynka. —

— Zgadliście.

— Pewnie?

— Pocóż bym miał Was zwodzić, chciałbym ją zobaczyć choć zdaleka, a na to potrzebaby mi wkraść się do kamienicy z W. Mością.

Ale nie dostaniecie się do niej, bo tam ich Ochmistrzyni, jak oko we łbie pilnuje!

— Bylebym wypatrzył, gdzie teraz Xiężna mieszka z niemi, rzekł Tomiło, bo się kędyś przenieśli w środek kamienicy.

— Jabył Was wprowadził, po chwili namysłu odezwał się Brożek, cóż kiedy teraz u bramy srodze pytają.

— A zna Was straż?

— Jakże nie? gdyby i nie znała, to po barwie dworu poznają i puszcza.

— A wieście co? rzekł Tomiło.

— Naprzykład?

— Dajcie mi swoją barwę, pójdę na chwilę i powrócę.

— Hm? a jak tam Was dworscy zaczepią, gdyby swego i nie będziesz się im umiał wykręcić, to cię wezmą i popadniesz w biędę, a z Tobą i ja. —

— Bądźcie o to spokojni, odpowiedział Tomiło — dam sobie rady. Teraz mrok niełatwo kto w nos mi zajrzy, a choćby i zaczepiono, nie już nie mam głowy na karku?

— Ja bo przeczuwam jakieś лихо?

— Kubek Wasz pełen! zawołał Tomiło, Wy bo dziś nie nie pijecie. —

— Już mi i tak w głowie kręci.

— Do Was, Panie Brożek!

— A dacie mi barwę na półgodziny?

— Kiedyżbo straszno do licha!

— Czegoż się boicie, ja to pojdem, nie Wy, i ręczę, że za półgodziny powrócę.

— Ależ bo Wam pilno do téj Juljanny, której pewnie i nie zobaczycie!

— Chodźcie przemienim suknie i postawię



Wam jeszcze kwartę, a pięć czerwonych złotych do ręki weźmiész za tę sztukę.

P. Brożek mimo upojenia i zawrotu głowy, miał jakby przeczucie, że źle czynił, nie mógł się jednak oprzeć naleganiom i przeszedłszy do bocznej komórki, barwę swoją oddał, wziąwszy na się opończę Tomiły. Sam zaś usiadł z kubkiem w rękę jednym, drugą potrząsając czerwone złote w kieszeni.

Tomilo nie bawiąc wymknął się z izby; lecz od drzwi zawrócił nazad.

— Musicie mieć hasło? spytał P. Brożka. — Powiedzcie mi, żebym je oddał u bramy. —

— Białocerkiew — szepnął na ucho napity i palec na ustach położył.

Dworzanin dosłyszawszy ledwie, pospieszył, przesunął się przez ulicę i do wrótek kamienicy Chodkiewiczowskiej dostał się. Szedł z taką śmiałością i pewnością, że pilnujący dział, słowa nie rzekłszy, na barwę tylko spojrzawszy, puścili go. Dopiero w fórtce, straż go spytała o hasło.

— Białocerkiew! rzekł śmiało Tomilo i wbiegł w dziedziniec. Tu rzuciwszy okiem

dokoła na prędce, posunął się pod murem spiesznie, oglądając wszystko, jak mógł, nie opuszczając najmniejszego zakątka. Przeciśkał się wśród stojących i leżących żołnierzy, koni, narzucanego kupami oręża, zachwale, odważnie. Nikt go nie zaczepił, on nikogo. Tak obydwu przewartowawszy dziedince, dojrzawszy stanowiska dział, miejsce przeznaczonych dla żołnierzy na murach, jął się nązad przeciskać ku fórtce od Zamkowej ulicy. Teraz już szedł samym środkiem i rzucając tam i ówdzie okiem na wysokie mury, spoglądał także na snujących się żołnierzy, których mijał. Nic nie pominął, czegoby przelotem przynajmniej, nie obejrzał. Jak wszedł, tak nązad wyszedł, powtórzywszy dane hasło, wyskoczył w ulicę i wpadł do Malcherowej gospody, w której P. Brożek jeszcze cmokał z kubka zostawione wino, lękając się pić prędzej, aby mu nagle głowy nie odjęło. —

— Już z powrotem? zawołał ujrzawszy go, tak prędko? Widziałeś ją?

— Widziałem, odparł Tomiło. Bóg Ci

zapłać za usługę — Widziałem co chciałem, teraz bierz sobie nazad swoje suknie i bywaj mi zdrów. —

— Czegoż tak prędko?

— Bo mi pilno!

I zrzuciwszy barwę, nakrywszy się opończą, pobiął Tomiło do Xięcia Janusza, od którego był wysłany. —

Młody Xiążę, u siebie właśnie naradzał się z Półkownikami i Rotmistrzami P. Zboryńskim i innemi o jutrzejszém dobywaniu kamienicy, gdy wszedł zapukawszy do drzwi i oznajmiwszy się Tomiło.

— Co nowego przynosisz? spytał go Xiążę. Słyszałeś co?

— Nic nowego nie słyszałem, ale byłem w kamienicy Chodkiewiczowskiej —

— Jakżeś się tam wkradł?

— Mała to rzecz jak, M. Xiążę, odpowiedział Tomiło, dość żem był, i jak mógł, co było pod ręką, obéjrzał. Przebiegłem oba dziedzińce, widziałem jaki gdzie stoją armaty, jakie miejsca porobiono dla żołnierza.

— Zuch z ciebie, zawołał Xiążę, nie zapomnę ci téj usługi Tomiło, a teraz mówże przedź, właśnie nam się ta wiadomość najpilniój przyda.

— Wojska w kamienicy, jak napchał, gdyby sledzi, rzekł Tomiło, ledwieć się pomiędzy ludźmi, kołmi i zbroją przecisnąć mógł. Na mury pozaciągali działa i śmigownice, wycelowane w ulice, jakby na oblegających, — najslabiój od Cerkwi, nie wiem czy tam jest dział troje; najmocniój na dwie strony od Zamkowój i Sawiczój — Pilno też opatrzone od XX. Ostrogskich placów i budowania. Porobiono zakryte chodniki dla żołnierzy, z strzelnicami tak, że aby ich dostać, trzeba by wprzód mury powalić, a oni niewidziani nas razić mogą. Podle bram łańcuchy mocne i kraty żelazne leżą, tak że choćby wrota wywalone zostały, niełacno by się dostać wylomem.

W dziedzińcu i na przymurku, krom kuli i prochów, wielka ilość kamieni przygotowana. Myślę też, iż niedarńmo kotły wielkie w dziedzińcu, pewni w nich wrzątek na głowy nasze gotować myślą. —

Xiąże Janusz i przytomni, spojrzeli po sobie.

— W polu jak w polu, rzekł Zboryński, tambym ich chciał mieć, i wyzwaczyć ich na rękę, niechby wyszli za Wilją—ale tu kat im da rady w téj lisiěj jamie!

— Zaprawdę trudna ich będzie dobyć, dodał Tomiło.

— Niejużci nie podobna! zawołał Xiąże— Zburzyć z lichem domostwo, wyłamać część muru i wyłomem się dostać.

— Z pozwoleniem W. X. Mości, przerwał Tomiło, niełatwo tu wyłom zrobić. Ja tam nie wojak i tych spraw niebardzo świadomy, ale niéma miéjsca zkąd burzyć mury. Ciasno w ulicach, jak w szyi do piwnicy. A wybiwszy dziurę nawet, nie łatwo przez nią w środek, kiedy ze środka i z góry bronić będzie załoga.

— Ogień podłożyć i dymem podusić! zakrzyczał uderzając w stół ręką Xiąże Janusz— Może jak dym poczuja, wyjdą w pole!

— Nie boją się oni ognia! rzekł Tomiło, mają go czém gasić. Ba i ogień niełatwo się

wczmie! A siedzieć pewnie będą w jamie do ostatka, nie wykurzyć ich.

Xiąże się namarszczył.

— Do jutra—zobaczmy jutro, rzekł — Idę do Xięcia Wojewody—Jak świt proszę WMościów, stać w gotowości z półkami i pocztami, każdy w swoim miejscu, do znaku. Dana będzie WMościom w czas wiadomość, jak się obrócić macie. Żołnierzowi nie dać się rozpraszać po mieście. Nie brak, wiem, na niczem żołdakom, niechże będą spokojni i mieszkańców nie krzywdzą, bo i tak na sumieniu i imieniu naszym, każda skarga pospolitego człowieka, uciśnionego teraz.

Rzekł i skinąwszy głową, pobięgl raczej niż poszedł do ojca.

Xiąże Wojewoda naradzał się także z kilką przyjaciółmi o jutrzejszym terminie.—Żwawo tu rozprawiano, przyjaciele radzili jaki taki pokój raczej, niż poczęcie wojny. Wojewoda gniwał się i poruszał—Znać było, iż w duszy swój nietylko nie żądał rozstrzygać sprawy orężem, lecz dowiedziony do ostateczności, która go prawie do tego zmuszała, sam na siebie i na wszystko się jątrzył. Lękał się nie-

wyrachowanych pierwszego kroku skutków. Walczył sam z sobą, bał się upokorzenia, nie miał odwagi do walki, nie wiedział co począć, a jednak w ustach ciągle wojną szermował i nią się odgrązał.

Xiąże Janusz wszedł na same słowa ojca, któren odpowiadał Dorohostajskiemu.

— Chcecie pokoju, dajcież środki do niego! Nakłońcież Chodkiewiczów —

— Ani myśleć o tém, odparł wchodzący Janusz—tylko co świeże mam ztamtąd wieści. Ufortyfikowali się jak przeciw napadowi Tatarów. Działa na wszystkie strony wymierzone, kamienie kupami na murach, wrzątek w kotłach, wrota pozaciągane łańcuchami i kratami! Ludu jak maku w kamienicy.

Wojewoda z widoczną niechęcią słuchał synowskićj relacji; on chciał zwycięstwa łatwego, rozjątrzała go myśl oporu długiego, walki srogićj. Wstrząsnął się cały, poruszył ramionami i zawołał.

— Zobaczym jak długo się potrzymają! zobaczym jutro! Zakazałeś W Mość ludzi? będą gotowi—?

—Od rana czekać mają rozkazu —

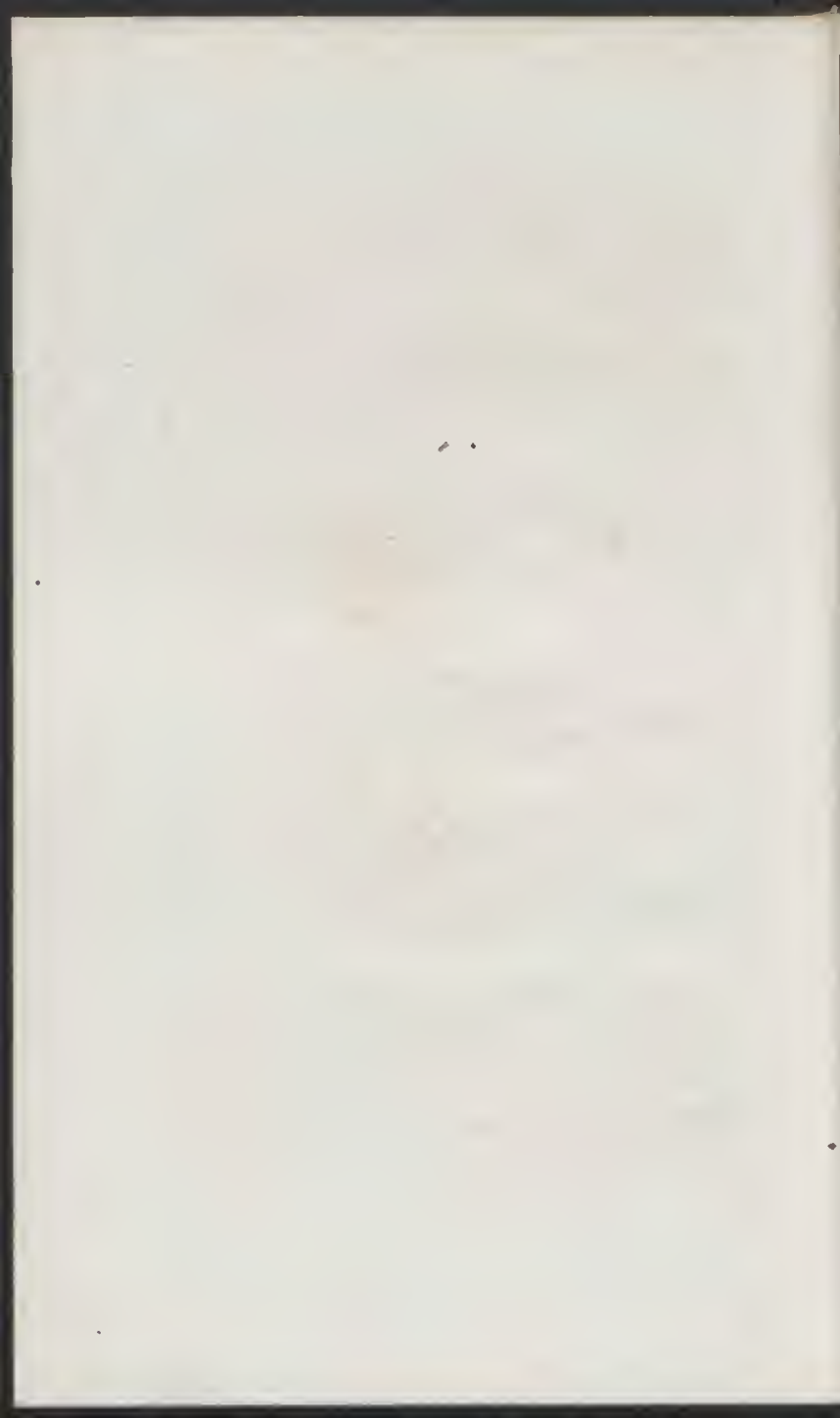
— Rozesłać jeszcze do wszystkich prosząc, aby się nie rozpraszali, a skupili wszyscy na Łukiszkach, z kąd do miasta za danym rozkazem wejdą. Gotowi oni, i my też nie zaśpim, dodał zapalając się—A kiedy się zacznie wojna, kiedy się raz zapali, brońcież się PP. Chodkiewiczze, wy i wasi, bo nie będzie przebaczenia nikomu, względu na nic i biada wam gdy upadniecie!!

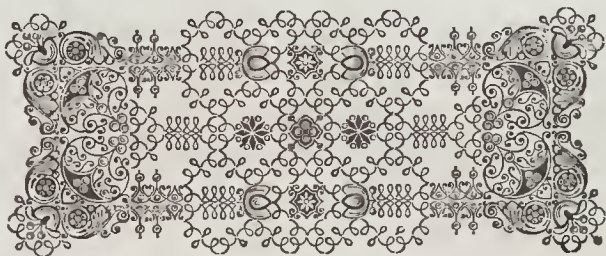




### **III.**

**Szósty Lutego.**





### III.

## Szósty Lutego.



**J**ESZCZE nie świtało nazajutrz, a już ognie widać było po całym mieście i ruch niezwykle zwiastował coś nadzwyczajnego. Tłumy wojskowych w milczeniu prze-

chodziły tam i sam ulicami, słyhać było bicie młótami u wrót, które potężnie zatarassowano ze środka. W domach bliższych teatru spodziewanej wojny, zabite nawet były okna dolne i górne, w dalszych od środka tylko zasłonięte deskami. Niektórzy sąsiedzi powynosili się z kamienic do Chodkiewiczowskiej przytykających i zostawili domy pustką stojące.— Wszędzie przygotowywano się na wypadek szturm i bitwy w mieście.

Gdy dzień zaświtał, nie ukazali się na ulicach ci, którzy zwykle równo ze dnem je zaludniali—wszystko milczało, nikt nie wychodził, nikt znaku życia nie dawał, tylko w Kościołach i Cerkwiach, jak codzień odczwały się dzwony, dziś próżno wołające na modlitwę. Otwarto drzwi, nikt nie przyszedł i ławki stały puste i Xięża odprawiali msze dziadom tylko z pod kruchty.

A w głębi domów i kamienic, co się działo, opisać trudno; noc przeszła bez snu, dzień nadchodził niespokoj i bojaźni. Wyglądano szparami okien zapartych, żeby ujrzeć co się w ulicach dzieje, przysłuchiowano się, azali

nie da się co słyszeć zwiastującego, że już do walki przyszło. Ale wszystko zrana ciche było i nic nadzwyczajnego się nie stało, tylko o dziewiątej już prawie ranniej ruszyły z tententem wojska Radziwiłłowskie w miasto, skupiając się w ulicach Senatorskiej, Ś. Duskiej, wokoło Ś. Jana, pod Zamkiem i na placu pod Cerkwią Bogarodzicy. — Wśród głębokiego milczenia w mieście, tentent rozległ się daleko, a mieszkańcy potruchneli od niego.

— Już, już oto się bić będą! Już wojska Radziwiłłowskie idą! Już idą, już otaczają kamienicę, wołano wszędy.

Wysłani ostróżnie na zwiady, potwierdzili domysły. Wojska stały już w mieście.

Tym czasem PP. Kommissarze Królewscy śpieszyli do Wojewody, Biskup Gedrojć, postanowił nie odstąpić go, w ciągu całego dnia głowę tam raczej położyć, niż na wzięcie się do oręża dozwolić. Jakoż stary Xiążę wezwawszy Panów Zawiszów, razem z niemi udał się do Kardynałij. Tu już wielką radę zastali, nie o zgodę, nie o warunki pokoju, ale o sposób w jaki napaść i szturmować było



potrzeba. Każdy inaczej radził, każdy po swojemu pojmował, a wszystkie rady i projekta podawane zle się Wojewodzie wydawały. On chciał jednym zamachem wpaść, rozbić, zniszczyć, powiązać, zwyciężyć i wesele wieczorem odprawić. Napróżno silono się mu okazać, że to było niepodobnem.

— Z takim wojskiem jak nasze nie pożyc tój garstki! wołał.

— Im liczniejsze, tém właśnie z niém trudniej, odpowiedział mu Dorohostajski. Cóż W. X. Mość poczniesz, gdy tu nawet połowy go pod kamienicą nie pomieścisz; a do szturm wcale miejsca niéma. Tysiąc nie wiem ludzi czy wygodnic stanie. A co robić z jazdą? Dobra ona w polu, tu cale nie przydatna, na mury nie polezie, strzelać i rąbać niéma kogo.

— Wywalić naprzód bramy — zakrzyczał Wojewoda!

— Bram bronią działa, odparł ktoś — po kilka ich przy każdej. Nim przystąpić do nich, wiele padnie; bo z góry ogień poczną, a na strzał przypuściwszy zmiotą do ostatka.



—Szturmować od Cerkwi do nich, tam najslabsi—przerwał Xiąże—

—Z dziedzińca Cerkwi? spytał Zboryński—  
Byłem tam dziś—Xięża oświadczyli że w dziedzińce nie puszcza, bo gdyby z téj strony strzelanie się poczęło, szwankowaćby musiała Cerkiew, będąca pod opieką konfederacji, której zapewne W. X. Mość, przyczyną zagłady być nie zechcesz. Świeżo nawet dach dla niedostatku gontą pokryty, byłby niechybnym początkiem pożaru.

Xiąże Konstanty Ostrogski Wojewoda Kijewski dodał:

—Byli z tém Mnisi u mnie, *saecuritate*—dla domu Bożego prosząc—przysięgam iż się starać będę, aby jeśli, uchowaj Boże, do walki przyjdzie, Cerkwi w żaden sposób nie tknięto. I słuszna, dodał, aby, gdy i tak Cerkwi tyle naodbiérano, jeszcześmy sami sobie szkody nie czynili. Dałem rozkazy PP. Rotmistrzom, aby Cerkiew szanowali.

—Wiedzieli więc PP. Chodkiewicze, dla czego tam dział nie stawili! rzekł Wojewoda. Do licha rozumni! Radźcież W Mość jak począc.

— Jeśli poczynać mamy, ozwał się dowódzca ludzi Xięcia Ostrońskiego, to nie inaczej, ino do bramy szturm od Sawieczęj ulicy przypuszczając. Nie bez tego, abyśmy ludzi nie stracili; boć ich tam naginać może siła, ale do wieczora, bramę przemódz można. Może też, gdy ujrzą, że się kusim o wrota, wyjdą ku nam, a tak można będzie bić się w ulicy, gdzie przynajmniej równa sprawa.

— Nie wyjdą, abyśmy ich nie otoczyli, rzekł Zboryński. P. Starosta Żmudzki, nie da się tak łatwo wiaść. Straciłby ludzi łącno, bo-  
byśmy z naszą siłą odcięli ich prędko i jak w saku pobrali.

— Jakże WMość radzisz? spytał Zboryńskiego Wojewoda.

— Jeśli już do tego przyjdzie — odpowiedział Zboryński, to razem na wszystkie strony szturmować, do wrót i do murów na okół.

— Ludzi natracim i nic nie zrobim, rzekł inny — Całą siłą w jedno miejsce —

— A kiedy tu całych sił nie pomieścisz, ba części nawet na jeden punkt. Ciasno i rozdać się wojsku niema gdzie, człek będzie czleka



duś i w téj eizbie swój swego nie pozna. Jak się ściśniem w jedną kupę, wybiją nas najłatwiej, dawszy kilka razy ognia, pomostem nas pościelą wszystkich.

— Alboby, ozwał się po chwilce jeden z dowódców, udać, że zaczynamy atak od Cerkwi. To najslabsza ich strona, rzuca się bronić, a drugi oddział może tym czasem zdobyć bramę od Sawiczěj ulicy.

— Myślicie że u nich już tak mało ludzi, iż broniąc muru od strony Cerkwi, nikogo przy wrotach nie zostawia? Mają oni dość i nadto prawie na załogę dla domostwa.

Umilkli wszyscy — I znowu wnoszono rady różne, a żadna nie podawała sposobu pewniejszego dostania się do kamienicy, bez wielkiej straty w ludziach i długiego boju. Wojewoda się niecierpliwił, czas na naradach upływał, słońce się podnosiło ku górze, a jeszcze nie postanowiono. Wojska tym czasem zgromadzone stały, oczekując od dowódców rozkazu, któren nie przychodził.

A w kamienicy Chodkiewiczowskiej jak gdyby żywěj duszy nie było, milczenie panowało

głębokie — Wrota stały zaparte, zatarassowane furtki, zabite okna. Na murach rzadko kiedy ukazała się głowa w szyszaku lub mi-siurce i znikła natychmiast. Ani szczęku zbroi, ani tententu koni słyhać nie było ze środka. Nikt nie wychodził na miasto, nikt z miasta nie wszedł wewnątrz.

Ale pomimo téj spokojności, téj ciszy, była gotowość wszędzie, stali żołnierze na murach, nabito broń, zapalono lonty dział. Sam Jan Karol w błyszczącej hiszpańskiej zbroi mister-nie wyzłacanój, chodził wszędzie, oglądał sta-nowiska, zwiedzał blanki na prędcie porobio-ne, opatrywał działa. Z wysokiój baszty przy-piętój w jednym rogu domostwa, widzieć mógł zebrane hufce Radziwiłłowskie zaléwa-jące część miasta. Popatrział na nie i w mil-czeniu zszedł nazad. A P. Barbier towarzy-szacy mu z Tomaszem Dąbrową, uśmiechał się.

— Pewnie teraz wielki gwar w Kardynalij, rzekł, bo nie wiedzą zkąd począć. Twardy orzech do zgryzienia!

Starosta Żmudzki nie odpowiedział na to — zamyśloný mało zważał na Francuza, idą-

cego krok w krok za nim i spoglądającego mu w oczy.

Zszedłszy w dziedziniec obejrzał jeszcze jednym rzutem oka gotujących się do boju ludzi swoich, których pełno było wszędzie, we zbrojach, przy mieczach, lub wlokących rynsztunki i przybory wojenne.

Udał się potem do brata i Kasztellana, jak on w zbrojach i przy szablach siedzących w komnacie i oczekujących odgłosu bitwy, hasła na dobycie oręża. Tylko Wojewoda Sandomirski, spokojny pośrednik, nie miał zbroi i nie zdawał się gotować do blizkiego boju. Zamyślony zmarszczony siedział on na ustroniu sam jeden nad wielką xiegą podparty.

A Xieżna? O! okropny to był dzień dla niej. Od rana w żałobnej sukni ubrana, Zofja klęczała i modliła się przed obrazem Matki Bożej, u którego paliła się lampa. Oczy jęj zaczerwienione od łez, ręce załamane, xiega modlitw leżała na ziemi. Czuła potrzebę modlitwy, a sił na nią nie miała, zaczynała sto razy i sto razy na odgłos szczęku broni, na

hałas jaki, powstawała, biegła ku oknu, wpatrywała się, przysłuchiwała, wracała, klękała znowu i znowu zaczynała modlitwę i jeszcze lada chrzest upadlój zbroi ją przerywał.

Taki był dla niej, dla sieroty dzień, rocznica tego, w którym przyszła na świat.

Na chwilę przerwały jój modlitwę i okropne oczekiwanie, odwiedziny Kasztellana i dwóch jego bratanków. Oni ukazali tylko, zimno ją powitali i za chwilę odeszli, Xiężna została znów sama przed obrazem Matki Bożej, z załamanemi rękami i oczyma łzawemi. A dla niej każda godzina płynęła długa jak półwieczności, każda chwila ciągnęła się nieskończenie, bo nad nią było oczekiwanie, niepewność, bojaźń. I nikt nie przyszedł ją pocieszyć, nikt upewnić, nikt nawet podzielać jój przestachu. Obok modliły się jój służebne, a niekiedy P. Włodska zaglądała przez drzwi ostróżnie.

Tym czasem na naradach w pałacu Radziwiłłowskim, upłynęło godzin kilka, minęło południe, dnia już zimowego niewiele zostawało, a jeszcze nie szurmowano, wojska się

nie poruszały z miejsca, nie postępowały. Kilka razy z wierzchołka baszty wyglądał Jan Karol, a zawsze widział ich na tém samém miejscu.

— Co to znaczy? pytano u Chodkiewiczów.

— Co to znaczy? szeptano po mieście.

— Będzie zgoda — zaczęli się domyslać ci, którzy zawsze śpieszą naprzód z wnioskami, prześcigając wypadki.

Cóż było w istocie? Nie umiano się zgodzić o sposób dobywania kamienicy, w istocie samój, swém położeniem w ciasnym miejscu niedostępnej. Próżno się Wojewoda zżymał, obruszał i naglił. — Upływały godziny w sporach nadaremnych. Biskup użył dogodnej chwili do przedstawienia, iż nie godziło się rozpoczynać wojny, nie spytawszy przynajmniej dla formy PP. Chodkiewiczów, czyli umowie zrobionej dawniej, zapisom zadość uczynić nie zechcą. Chodziło mu o uzyskanie czasu, widział bowiem, że dla samych trudności rozpoczęcia walki, gdyby się tylko przewlekło, rozejśćby się mogło i na niczem spełznąć.

Przyjął myśl Wojewoda i przyjaciół od siebie uprosił, którzy do Panów Chodkiewiczów udać się mieli z zapytaniem, czyli w terminie, wedle opisu, wydadzą Xiężnę za Xięcia Janusza? Uproszeni do tego poselstwa byli: Pan Krzysztof Zenowicz, Lew Sapieha, Staszewski Pisarz Lwowski i Krasicki.

Wyszli oni z Kardynalij i udali się prosto do furtki od Ulicy Zamkowej, do której P. Staszewski zapukał. Ale milczeniem tylko odpowiedziano mu zewnątrz, gdyż straż posłała do Starosty Żmudzkiego z wieścią o przybyłych z Kardynalij i proszących wejścia. Stukali jeszcze i czekali dość długo, nim Starosta zszedł, a furtę odryglowano, kraty i łańcuchy odjęto.— Gdy się to dzieje, przyszli także do bramy Kasztellan Wileński, P. Alexander Chodkiewicz i Wojewoda Sandomirski. Jan Karol dawszy rozkaz otworzenia, i zostawiwszy stryja, sam w głąb się cofnął. Weszli Posłowie powitani ozięble u furtki, których Kasztellan Wileński wprowadził na prawo do sklepika w ziemi, w głąb na kilka wschodów będącego o jedném tylko okienku,

nać, aby wiodąc ich przez dziedzińce, nie pokazał im wnętrza i przygotowań jakie były poczynione.

— Dalej nie możemy Was prowadzić, rzekł Kasztellan, wybaczenie, iż Was tak źle przyjmujemy, ale to nie nasza wina.

P. Zenowicz i Sapielha przyjęli wymówkę w milczeniu. Ozwał się potem Kanclerz.

— Jesteśmy tu przysłani od Xięcia Wojewody, rzekł, którego raz jeszcze chce wiedzieć od Was Panie Kasztellanie, uważacieci dany obług i uczynioną umowę za nienaruszoną lub nie? Chcecieci wydać Xiężnę, dziś, tutaj, za Xięcia Janusza!

— O to cała treść naszego poselstwa, ozwał się Zenowicz—i odpowiedzi Waszój czekamy.

— Odpowiedź zawsze jedna, żywo odparł Kasztellan. Niedawno, Wam samym Mości Kanclerzu, rzekliśmy to i dziś powtórzym, okaże się kto i jak przyrzeczeń dopełnia—My swoich nie odbiegamy, czekamy Xięcia Janusza z przyjaciółmi. Postawim Xiężnę zdrową na ciele i umyśle, nie przymuszając jej do żadnego poniewolnego ślubu, niech wyrze-

cze jakie ma serce dla Xięcia. Tak jest, stoję przy umowach i zapisach. A co domnie, dodał, ręczę WW. Mościom, iż ani wiem, ani się domyślam nawet, jaką odpowiedź dać Xiężna może, bom się jój o to nie pytał.

Posłowie z podziwieniem spojrzeli po sobie, gdyż całe innę spodziewali się odpowiedzi. Nie wiedzieli już co mówić dalej i czego jeszcze wymagać więcej, Kasztellan pozornie na wszystko zezwolił.

— Jakkolwiek, rzekł, opiekun, miałbym władzę nad Xiężną, nie chcę jój zmuszać, nie chcę jój radzić nic, abym sumienia nie obciążył, niech sama przyszłość sobie zgodzi. Chcecie WW Mość Panie Wojewodo i Kanclerzu, idźcie sami i spytajcie jój względem woli dla Xięcia i ślubu.

— Nic jesteśmy do Xiężnej wysłani, rzekł Kanclerz, lecz do Was tylko, przeto dość nam téj odpowiedzi, z którą do Xięcia Wojewody pośpieszym.

Po kilku słowach jeszcze, pożegnali i wyszli, rzuciwszy ciekawém okiem w kamienicę, pełną w téj chwili żołnierza.



— Co myślicie o tém wszystkiém? spytał Zenowicz Kanclerza wyszedłszy w ulicę. Co znaczy dana odpowiedź?

— Że Xiężna Pani, odpowiedział pocichu Kanclerz, jest już przeciw swojemu narzeczonemu zapewne. Zresztą nie pojmuję. Byłaby tak łatwą zgoda?

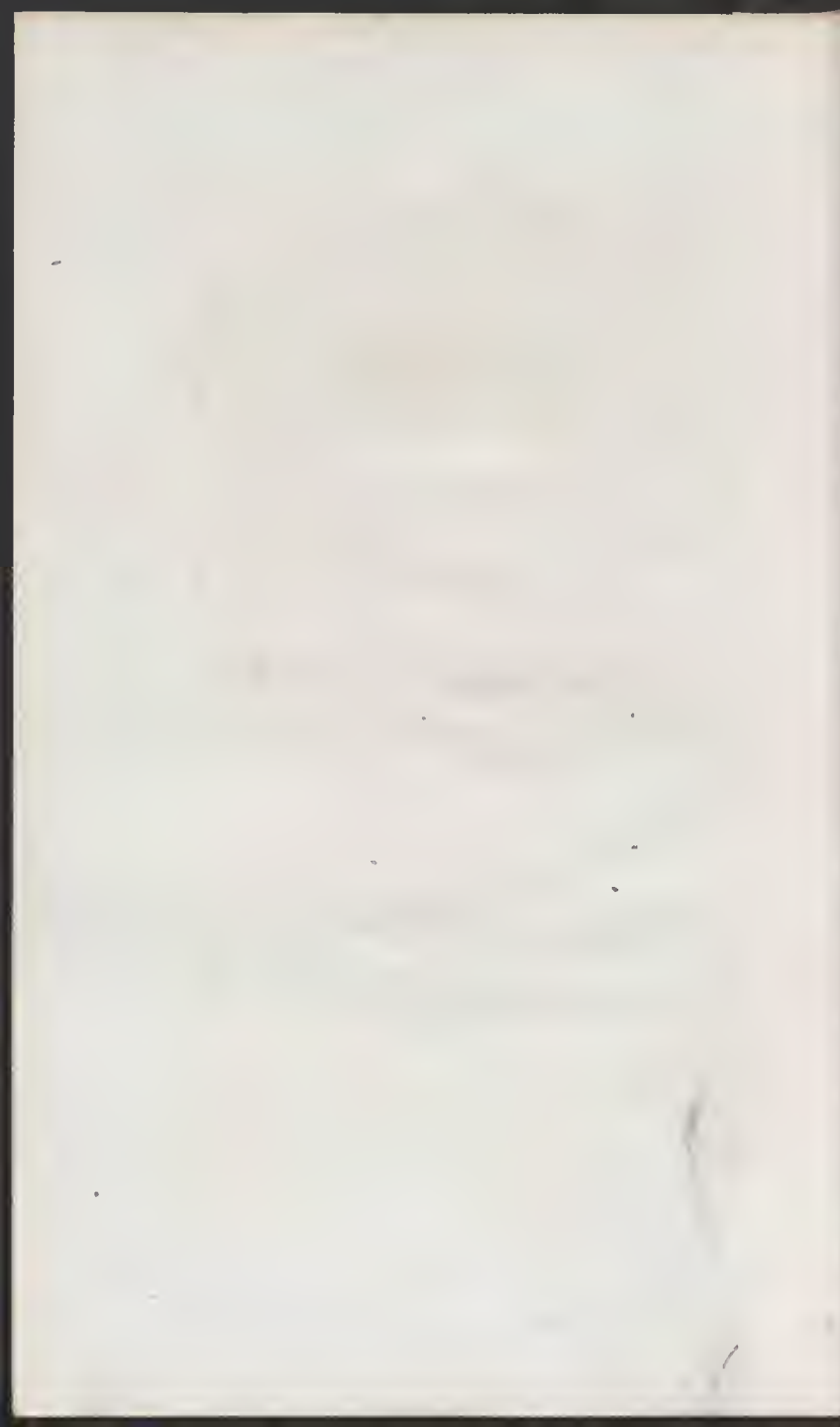
I tak rozmawiając weszli do Kardynalij, gdzie ich niecierpliwie oczekiwano.

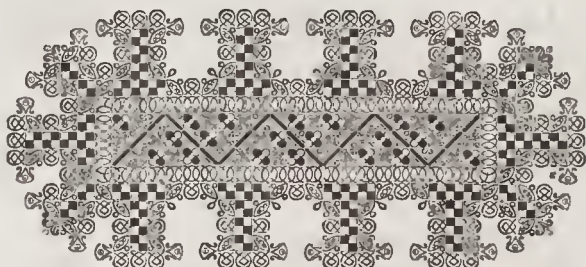




## **IV.**

**Pokój czy Wojna?**





## IV.

**Pokój czy Wojna?**

**W**ESZLI, Wojewoda okiem ich zmierzył,  
 czekał wieści z czém wracają, nie śmiał  
 spytać co zrobili. Xiąże Janusz nie zwrócił się  
 nawet ku nim, on był pewien, że albo ich

nie dopuszczono wewnątrz, albo zbyt jaką taką wymówką.

Inni przytomni otoczyli ich, w twarzach pokazując ciekawość i pytając cicho.

— Co niesiecie?

— Z czém wracacie?

Ranclerz posunął się ku Wojewodzie, chciał mówić; ale Zenowicz mu przerwał.

— Otoż nadspodziewanie, rzekł prędko, Panowie Chodkiewiczze—

— Nie dopuścili Was? spytał trzęsąc się Wojewoda.

— Owszem— byliśmy w kamienicy, mówił dalej Zenowicz, choć nieprędko do niej się dostukali. Wyszedł przeciw nam Kasztellan z Wojewodą Sandomirskim i Starostą Borysowskim. Na zapytanie czyli swęj umowie zadość uczynią, odpowiedzieli—

— Cóż odpowiedzieli? podchwycił niecierpliwie Wojewoda.

— Iż— czekają Xięcia Janusza z przyjaciółmi, i będą stawić Xiężnę zdrową na ciele i umyśle, pozwalając jęj wyrzec to, czém ją P. Bóg natchnie, w niczém ją nie siłując i

zmuszając do niczego.— Owszem nas samych chcicli prowadzić do Xiężnój, aby przed nami oświadczyła się z wolą swoją, a Kasztellan upewnił, że ani pytał, ani wie nawet jaką da odpowiedź.

— Czegoż więcćj żądać? rzekł Biskup Gdrojć— Nicch Xiążc Janusz uda się do nich.

Wojewoda gnicwny milczał.

—Ja! udać się do nich, zakrzyknął Janusz. Azaż to nie widoczna, iż pod pozorem zadość uczynienia warunkom— jest to sztyderska odprawa! oni wiedzą, że Xiężnę zmusili, aby przeciw mnie wyrzekła. Tegoby im trzeba tylko, abym poszedł teraz pytać jćj— Powiedziałyby pod strachem, że niéma serca do mnie, i tak sprawa cała, byłaby rozwiązana na ich stronę, prawnie na pozór i sprawiedliwieby wygrali w oczach ludzkich! Ależ, ja iść tam nie mogę, wszak widoczne Kasztellana przeciwko mnie zmowy z bratankami, wszystko tam już musi być wcześniej ułożone na zawstydzenie nasze. Pójść tam i powrócić ztamtąd z odmową, ze wstydem! O! tego nie będzie.

—Więc, mówił dalej— już i Xiężna za niemi! już i ją potrafili odmienić i przerobić!

—Rasztellan, rzekł powolnie Sapicha, ręczył, iż z Xiężną o tém nie mówił, o to ją nie pytał i nie wie co myśli.

—Rasztellan sam może w to nie wchodził— odpowiedział Wojewoda, ale byli pewnie od niego wysłańcy, którzy słabym umysłem kobięcym owdadli! Gdyby oni nie byli pewni swego, nie staliby teraz przy umowie, której niedawno zaprzeczali wszelkiej wagi.

—I ją więc potrafili przeciw nam obrócić, i z niej zrobili oręż na nas! wołał Janusz. Ale nie, nie, oni sami wprzód powiedzieli, umowa za nie!— Xiężna pod ich władzą, powie co każą— gdy będzie wolną, wówczas niech się dopiero wyrzecz— Wprzód nim ją pytać będziemy, potrzeba oswobodzić.

I Wojewoda tak myślał, bo za synem powtórzył

—To tylko łapka na nas, aby zbyć niezém i wszystkò wywrócić, jedném słowem Xiężnej:— Nie chcę. Ale nie— nie pójdziem jéj pytać teraz, bo Rasztellan pod zakładem



przysięgłszy, żadnych na nas złów nie czynić, przecież już opisał się ze swemi brataniami; widoczna niechęć, widoczny podstęp.

Mości Panie, odezwał się do Janusza, niech wojsko otoczy kamienicę — dzień się wola Boża.

Na te słowa wyrzeczone wyraźnie i głośno przez Wojewodę, ruszył się Xiąże Janusz ku drzwiom, ale go wstrzymał Zawisza. Biskop zaś Gedroję postąpił ku Radziwiłłowi.

— Xiąże, zawołał, pomyśl co wyrzekłeś, dałeś hasło do boju, — lekkoż ci na sumieniu? Maszże przynajmniej przed sobą czém się wytłumaczyć? Pomiarkuj się, odwołaj. PP. Chodkiewicze nie odbiegają umów, Rasztellan zaręcza, że nie wie o woli i skłonności Xieźnej, wzywa Was, aby ona rozstrzygła między Wami. A Wy odpowiadacie rozkazując ruszyć wojsku. Na Boga, Wojewodo, chciejcie się upamiętać! O co Wam chodzi, o żonę dla syna? Godziż się cały kraj pogrążyć w nieszczęścia wojny domowej, byle swojego dopiąć! Xiąże, Wyście sami nie obcy — Wyście tego kraju, któremu zagrażacie,

synem ; między dobrem jednego człowieka a dobrem kraju, wybierając, można się li, choć chwilę zastanowić? Wszystko się da ułożyć—Zrobiemy zgodę, porozumięcie się, lecz nie spieszcie wyjmować z pochw oręża, abyście nie żalowali tego potem !

Przystąpili za Biskupem inni.

— Daj się przekonać i ubłagać, zawołał Kanclerz Sapieha — Przyszłość odda Wam sprawiedliwość, kraj cały wdzięczen Wam będzie, jeśli miarkując się, zaponinając urazy dla miłości Boga, nie zechcecie szukać zemsty, która i na niewinnych głowy spaść może.

— W Imie całej Litwy, zaklinamy Was Xiaże, z kolei odezwał się Dorohostajski — Chcecież aby powiedziano, iż byliście przyczyną niepokojów i niewyliczonych szkód dla kraju, przez jedną tylko miłość dobra własnego, a raczej zapamiętałość w gniewie! Xiaże! o Was wszyscy inaczej trzymają! Ułożym wszystko, skończym; sfolgujcie! dajcie się uprosić!

Gdy wszyscy obstąpiwszy Wojewodę, starają się go odwieść od rozpoczynania wojny,

X. Janusz stoi u drzwi widocznie miotany niespokojnością i gniewem, rozjątrzony zwłótką, pragnąc wojny, której skutków nie rachuje, byleby dogodziła żądzy pomszczenia się gorącej. Nie śmié jednak wynisć i dać rozkazu, wpatruje się w twarz ojca, po której przechodzą widocznie wyrazy różnych uczuć. Raz oczy mu się iskrzą, drżą wargi, to znów lice błednie, gaśnie i spuszcza się spójrzenie ku ziemi, usta odmykają się wpół, jakby chciał co powiedzieć. I znowu milknie, i znowu drży od gniewu i niespokojności. —

Wszyscy przytomni łączą się do Gedrojcia i Zawiszów, Kanclerz Sapieha, Xiążęta Ostrogskie, Abramowicz, bratanek Wójewody, jego szwagier Naruszewicz, Zenowicz Wda Brzeski, obstąpili go, nagłą, proszą, zaklinają, aby szkodliwego przykładu wojny domowej nie dawał, aby się powściągnął, pomiarkował i odłożył przynajmniej krok niepowetowany, stanowczy.

—Zawsze pora do wojny, woła Lew Sapieha, ale raz wyjąwszy szablę z pochew niełatwo ją będzie schować nazad. Jeśli kropla

krwi bratniej przylgnie do żelaza, będzie ona wywoływać zemstę, i zemsta za zemstą walce końca nie będzie, niepokojom — wojnie.

— Nie, nie, zakrzyknął wreszcie Wojewoda, długo zatrzymanego dobywając głosu — Ta krew spadnie na nich, jań jój nie winien, ja jój nie pragnąłem, ja do ostatka prosiłem z poniżeniem własném o zgodę, o pokój. —

— Pokażcież się jakimi byliście i teraz, słahym głosem rzekł Biskup Gedrojć — Nie zdawajcie sprawy na ślepy los wojny — w chwili zgonu, staną u Waszego łoża cienie pobitych hraci i skonać Wam spokojnie nie dadzą. I za co? i dla czego wojna? Dla imion, dla kłóty! O wstydzie, o hańbo! jestże się dla czego krwawić i zadziierać? Jestli czego rozpoczynać wojnę z braćmi — Cały świat zwróci na nas oczy ze zgrozą i palcem nas wytykać będzie. Jesteśmy otoczeni nieprzyjaciółmi, gdybyśmy sto razy tyle mieli i oręża i ludzi, nie wystarczy ich na odparcie cisnących się i sprzysiężonych na nas sąsiadów; gdybyśmy mieli sto razy tyle krwi i żywota do wyszafowania, mielibyśmy co z niemi u-

czynić, stawiać je murem przeciw sąsiadom. Godziż się wyzywać nieprzyjaciół, czyniąc zamieszanie w kraju, z których nie omieszkają korzystać! Xiążę! dajcie się przekonać, uprosić. W imieniu dobra kraju, w imieniu Króla Jego Mości, nas wszystkich obywateli W. Xięstwa w imieniu Waszych przodków, z których żaden krwią się bratnią nie skrwawił, zaklinamy Cię, Wojewodo — zdaj tę sprawę na wielkiego rozjemcę.

— Na jakiego! gwałtownie przerwał Xiążę. Na Króla?

— Na Boga! największego rozjemcę kończył Biskup.

— I na czas — dodał Sapielha.

Pomimo burzy wewnętrznej, jaka widocznie wrzała w duszy Radziwiłła, znać było, iż wkradł się był zbawienny strach i obawa o skutki tak stanowczego kroku. Wojewoda nie ponawiał danego synowi rozkazu, stał ponury, w milczeniu. Potém padł na krzesło, spuścił głowę i milczał. Zwrócili się niektórzy do Xięcia Janusza, mitygować go, wystawując mu, jak dziwną i niesłychaną by-

ło rzeczą chcieć się żony dobijać orężem, gdy i tak mieć ją może bez krwi przeléwu. Wojewoda milczał i myślał, Janusz odstąpił od drzwi. Jemu jednak więcej jeszcze twarz palała i żywiej serce biło. (Nie dziw, młodym był jeszcze, a uczucie królowało nad rozumem)!

Po chwili, znowu wszysey ruszyli się do Wojewody, któren wysilony, słowa nie mówiąc, siedział ciągle na miejscu.

— Zróbcie ofiarę z siebie, rzekł Gedrojć, a Bóg Wasz, Król i kraj przyjmą-i policzą Wam, na tym i na drugim świecie! Jedno Wasze słowo, może być zgubą dla kraju, może wywołać na Waszą głowę przekleństwa i skargi całych rodzin; pomiarkujcie się z sumieniem Waszém, nim je wyrzeczecie.

Wojewoda powstał i wziął za ręce Gedrojcia, poruszony był widocznie i lza niemężka, może raz pierwszy od lat kilkudziesiąt, zabłąkała się pod powieką.

— Nie wyrzeknę tego słowa, rzekł, wolę niech moje przepadnie, niech ja ustąpię, byłbym nie na sumieniu nie miał. Przekona-

liście mnie, dzięki Wam!—Nie chcę wojny, na dziś przynajmniej. Uczynię z siebie ofiarę z gniewu i popędliwości, z obrazy, z krzywd poniesionych.

—Rozpuścić ludzi po gospodach, rzekł do syna.

Xiąże Janusz stał jeszcze, nie wiedząc czyli i to stanowczy rozkaz lub nie, ale wszyscy rzucili się do drzwi i w chwili dwudziestu posłańców oznajmywało w ulicach stojącym ro-  
tom rozkaz powrotu do gospód.

Senatorowie dziękowali Xięciu, on milczący znowu, strapiony, z widocznymi ślady na twarzy, jak drogo kosztowała go uczyniona ofiara, usiadł i zadumał się.

Słońce zachodziło i ostatnie jego promienie błyszczały na oknach wież, krzyżach i strzałach kościołów, gdy hufce Radziwiłłowskie, ruszyły się z miejsca i na odwrót ciągnąć poczęły.

Z Baszty Chodkiewiczowskiej kamienicy spoglądał na to Jan Karol, patrzył i nie wiedział co to znaczyć mogło. Zdało mu się z początku, iż ciągną już oblegać; gdy nawet w prze-

ciwlegle skryli się ulicę, myślał jeszcze iż obchodzą, aby go ztyle i niespodzianie podeszli. Wydane rozkazy, żołnierze stanęli na murach w swych miejscach—czekano—wojsko Radziwiłłowskie znikło i nie ukazało się więcej.—Słońce zaszło, padać zaczynał zmrok, nie przestano jednak mieć się na ostrożności dzień cały. Jan Karol zszedł z baszty i udał się do Kasztellana.

—Jakaś dziwna odmiana, rzekł wchodząc; wojska Radziwiłłowskie ustępują i odchodzą.

—Coby to miało znaczyć? spytał Mniszech.

—Iż nas pożyć się nie spodziéwali? odpowiedział Jan Karol. Naradzali się cały dzień, jak przystąpić i co z tylém wojskiem zrobić, teraz ustępują nie śmiéjąc zaczepić.

—Może być, rzekł Kasztellan, iż to tylko udany odstęp, a w noey' w piérwospy łacniéj nas cichaczem obejśé myślą.

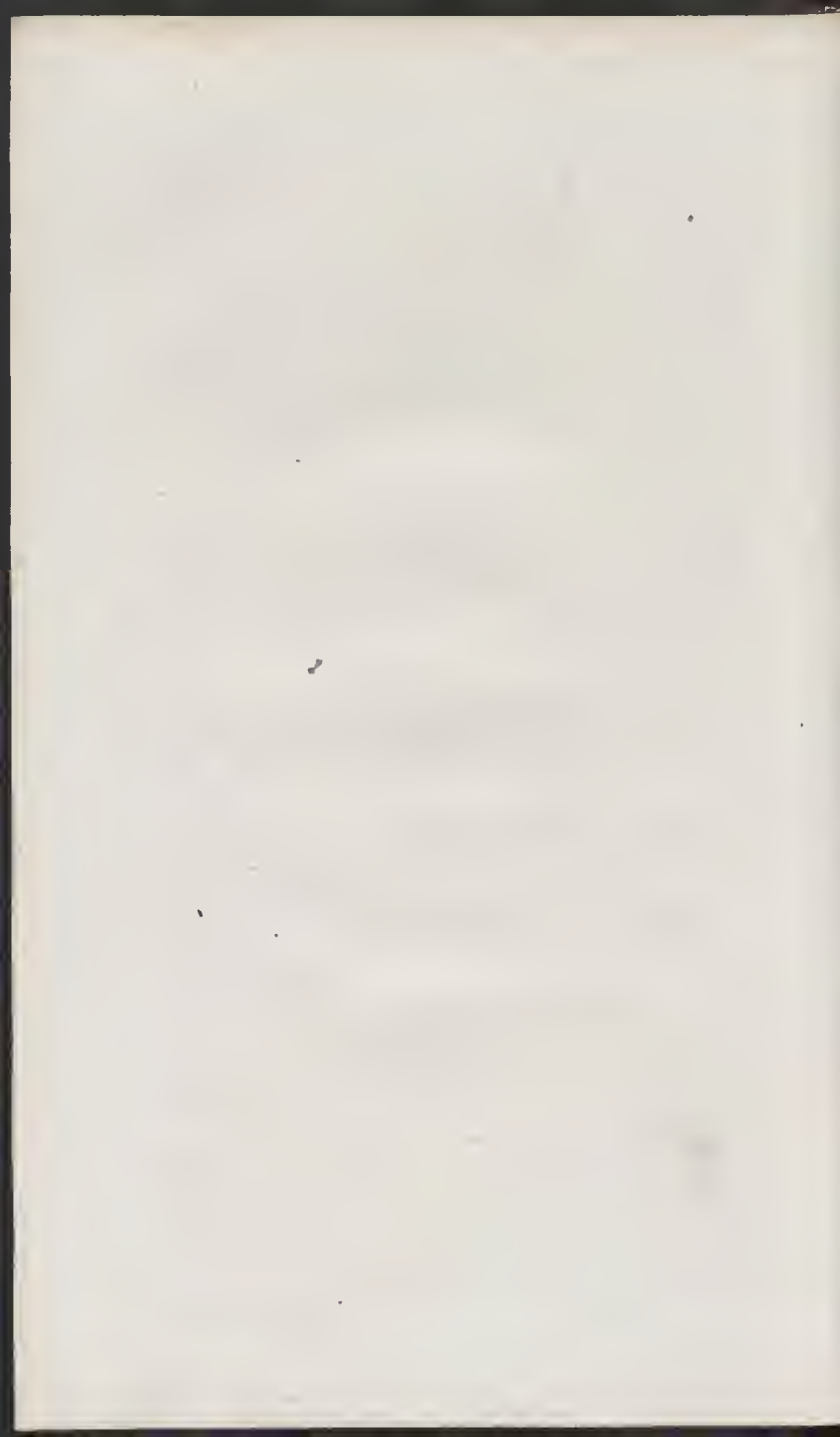
—Żołnierz czuwać będzie na murach! odpowiedział Jan Karol—Bądźcie spokojni, ja swoich na gospody nie rozpuszczę.



— Tym czasem posłaćby na zwiady — dodał Alexander Chodkiewicz.

— Poszedł już jeden — rzekł Jan Karol i tylkoco go nie widać nazad. Jak tylko ruszyły się wojska, wysłałem go zaraz dostać języka od Katolików, którzy są w wojsku Radziwiłłowskiém, i szli przeciw nam tylko z 'musu, a w sercu nam przyjazni.





**V.**

**Czekali do północy.**





## V.

**Czekali do północy.**

**B**yło blisko północy. W Kardynalijskiej na wielkiej sali, mnóstwo osób zgromadzonych stało. Wpośrodku nich ogromny stół zasłany bogatym kobiercem, na kilku sto-

pniach obitych suknem, ustawiony. Na nim świeće woskowe, krucyfix wpośrodku i xięga. Z obu stron stołu dwaj xięza — pastor ewangelicki i Mnich Ruski w milczeniu, czekać się na coś zdawali. Na niższym stopniu dwu Woźnych trybunalskich, wysokich a chudych, z wyciągnionemi szyjami i konopiatym wąsem, stali poglądając to po zgromadzeniu, to po sobie.

Ogromny zégar Gdański w szklannym postumencie wskazywał w téj chwili, że za dzie sięć minut, północ wybić miała.

Dokoła stołu liczne zgromadzenie szepcząc, otaczało go. Na przedzie w bogatych strojach, Xięże Wojewoda i syn jego Janusz, którego białe atlasowy żupan i karmazynowy kuntusz, zdaleka odznaczały. Oni stali w ponurém milczeniu. Wojewoda spoglądał na zégar.

Jeszcze pięć minut do północy—i milczenie głębokie. Przytomni gwarzą pomiędzy sobą.

Nareście wybija północ powolnie i gdy dwunaste uderzenie zégaru rozległo się po sali, Wojewoda wszedł na stopnie —

— Świadcę się wszystkiemi tu przytomné-

mi, rzekł, jakom w niczém nie uczybił terminu wyznaczonego, umową zawartą z Panami Chodkiewiczami—Wzywałem ich, oczekiwałem dzień cały w gotowości do zawarcia związku między tu przytomnym synem moim Januszem, a Xiężną Zofją Słucką. Termin ten upłynął, umowa dopełnioną nie została, ale nie z naszój winy.

Natychmiast toż samo prawie, lecz w terminach najeżonych prawniczą łaciną powtórzyli dwaj Woźni, dobitnie i głośno. Xięża zeszli ze stopni, krucyfix wyniesiono, zabrano świeće, drzwi na roścież się otwarły i Wojewoda wprowadził licznych swych gości do drugiej sali w której spóźniona, lecz wytworna wieczerza zastawiona była.

Nie będziemy opisywać bankietu, któren dzień ten straszny zakończył. Rozgrzani winem goście nieraz na nim wspomnieli mniej przychylnie imie PP. Chodkiewiczów, lały się z puharów odgróźki i wyrzuty, nie próżnowały usta. Jeden Wojewoda milczał tylko i napróżno wyzywać go się zdawały przyjaciół i pochlebców jątrzące wyrazy, nic nie rzekł.

Późno w noc rozjechali się wszyscy do domów.

A w kamienicy Chodkiewiczowskiej też same przygotowania, też sama była gotowość do odporu jak we dnie. Żołnierze budzili się wołaniem, ognie pałify, straż chodziła, Pan Mikołaj Chamiec we zbroi, z szyszakiem w rękę, mieczem u pasa, obchodził posterunki, budził usypiających, nadstawiał ucha na każdy szmer w ulicy. Kasztellan z Janem Karolem i Alexandrem siedzieli w swojej komnacie—Xiężna Zofja, klęczała dotąd przed obrazem Matki Bożej.

Tak w niespokojném oczekiwaniu upłynęła noc cała ; nadszedł dzień. Rozwarto furtki pałacowe i wysłani na wzwiady przynieśli od Zawiszów, dokładną relacją, wypadków dnia przeszłego.

Dziwili się niepomału Chodkiewiczowie powolności jaką Wojewoda na perswazje przyjaciół okazał i nie pojmowali jęj, nie tłumaczyli sobie inaczej, tylko niepodobieństwem zdobycia kamienicy, gdyż wiedzieli o naradach rotmistrzów, którzy skutecznego sposobu



zwyciężenia, wymyśleć nie mogli; ba nawet zgodzić się o to, jak napadać, na kamienicę.

Ku południowi nadszedł Biskup Gedroję z PP. Zawiszami, tentując o zupełną zgodę. Ale napróżno podawano warunki różne, gdyż Jan Karol zdawało się, ośmielony wczorajszém wahaniem się Wojewody, na nic przystać Kasztellanowi nie dozwolił, Kasztellan za się jak wczoraj, na Xieźnę wszystko zdawał. W ciągu tego dnia, nie ustawały propozycje ze stron obu, ale bezskuteczne. Nie tak to łatwo było, zajątrzonych zbliżyć i do zezwolenia na jedno sprowadzić, widoczném jednak okazywało się, że mimo trwającej nienawiści, znużone strony obie, pragnęły pokoju i zgody, bodaj powierzchownej tylko.

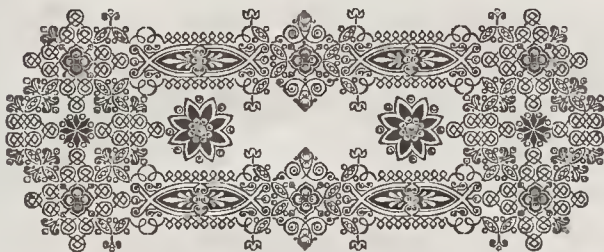




**VI.**

**Ciąg dalszy.**





## VI.

**Ciąg dalszy.**

**N**AZAJUTRZ rano wszedł Kasztellan do mieszkania Xiężnój i zastał ją na modlitwie. Spokojniejsza jnż dziękowała Bogu, że wyprosiła to, czego pragnęła—pokój—Się-

rota zapomniała o sobie, myślała tylko o skutkach wojny, której się przyczyną uważała.

Powstała na widok stryja i pozdrowiła go w milczeniu. Spójrzał na nią Kasztellan i przez bladość i znużenie dojrzał radości w sercu.

— Radziwiłłowie, nie śmieli się wczoraj do Was odezwać, rzekł—wzywałem ich.

— Wzywaliście? spytała Zofja.

— Tak, wzywałem ich przed Was, abyście sami wyrzekli, macie li skłonność dla Xiecia Janusza lub nie. Byłem pewny, że nas nie upokorzycie. Nie chcieli jednak stawić się i nie śmieli zdać się na Was.

Xieźna westchnęła i zamilkła.

— Zwątpił i on o mnie, rzekła w duchu i słusznie.

— Cóż teraz poczniecie i co ja począć mam? spytała.

— Spokojnie, zdawszy się na wolą Bożą i opiekunów czekać końca—Wszystko rokuje pomyślny. Radziwiłłowie przekonawszy się o niepodobieństwie o szkaradzie takiej wojny, rozpuszczą żołnierza, zdadzą się na przyjaciół, nachylą do zgody. W. X. Mość, dodał,

z ufnością i uspokojeniem czekajcie, zdawszy na nas pieczę o wszystkiém. Możecie wierzyć, że Waszego tylko dobra chcemy i o nie starać się będziemy.

— Ufam w Boga i w Was! odpowiedziała Xiężna. Nauczyłam się cierpliwości i zdania na wolą Opatrzności. Co się stanie, wszystko przyjmę z ręki opiekunów —

— Dzięki Wam za powolność, która dla Was samych najpożyteczniejszą jest, rzekł Kasztellan. — Uspokójcie się, bądźcie cierpliwi, mamy nadzieję pożądanego wszystkim końca. Przyjaciele odwiekli ich od szkodliwego najścia, przyjaciele mogą uczynić zupełny koniec. Nie taim Wam, że trudny, bo mamy sprawiedliwe urazy, bośmy skrzywdzeni i swojego dopominać się nie przestaniem. Kiedy jednak od widocznej zguby i szwanku kraj ten Bóg uchował wczoraj; spodziewamy się iż reszta w swoim czasie ułatwić się da.

To powiedziawszy Kasztellan ze zwykłą sobie powagą pożegnał Xiężnę, która znowu sama została. Wyjrzała w dziedzińce — w nich jeszcze też same co wczoraj przygotowania wo-

jenne widać było. Jakkolwiek przejście terminu bez zaczepki upewniało cokolwiek, nie chcieli jednak Chodkiewiczze rozpuścić wojsk i zostać na łasce nieprzyjaciela, któren opamiętawszy się, mógł z tego skorzystać. Nie ufali oni Radziwiłłom i z rozbrojeniem czekali, aby im przykład dano.

Wkrótce jednak rozjeżdżający się na Sejm, na Marzec zwołany z powodu spraw Wołoskich, Panowie Senatorowie, poczty swe zabierać zaczęli, inne rozpuścili sami Radziwiłłowie, zaniechawszy myśli o wojnie, a zwróciwszy się do prawa którym pożyć łatwiej i bezpieczniej było. Jakoż wszystkie Sądy zostawały w ich ręku, na Trybunale czynili co chcieli i Manifest który podali do Akt, siódmego Lutego, był oznajmieniem niejako dla PP. Chodkiewiczów, z której teraz strony pilnować się mieli. Wniesiono powtórnie mowę o bannieji na Kasztellana Wileńskiego, rozpoczęto processa nanowo.

Próżne były na téj drodze starania ze strony pozwanych, oni nie mogli nigdzie, nawet w tych Województw i Ziemstwach Sądach, w któ-



rych największy wpływ mieli, przeważyc wpływ Radziwiłłów. Obiérano na Urzędników, Kandydatów zaprzędanych duszą i ciałem partji Wojewodzińskiej, a ci sądzili jak kazano. Potrzeba było nie dopuścić sprawy, nie dopuszczono aby rejestr doszedł do niéj, trzeba było inną odsądzić, rychło wywołano ją na zajutrz. Dekreta pisały się w Kancelarji Wojewody i posyłały Sądom. W tego rodzaju wojnie, Chodkiewicze oprzeć się nie mogli, odzywali się wołając na przedajność, na krzyżącą niesprawiedliwość; nikt ich nie słuchał. Wszyscy w kraju oswojeni już byli na nie-szczęście z bezprawiem, które nikogo nie oburzało. Nakłaniano głowę przed silniejszym i milczano.

Przez cały miesiąc Luty prawie, nieustannie tentowano, lecz na próżno o zgodę; ku końcowi Sejm Marcowy powołał wszystkich do Warszawy i sprawa zawieszona została: Ustąpiła ona na chwilę, przed ważniejszymi względami; — wtargnięcie Szwedów do Inflant i spodziewana wojna z Wołochy; zwróciły uwagę wszystkich. Zebrał się Sejm, jeden z tych,

które malując czas i ludzi, zapisane są na kartach historii, na wstyd i naukę przyszłości. Groziły wojny, a nikt nie myślał o zagrożonym kraju. Zgubna nieufność dzieliła Króla od poddanych. Zygmunt III. więcej miał stokroć nieprzyjaciół, niż stronników. Opinia powszechna była przeciw niemu. Lękano się nawet uchwalić poboru na wojnę, aby Król go nie użył na poparcie swjej sprawy w Szwecji. Smutne położenie kraju! Król gdzieindziej sercem i myślami; gdzieindziej poddani, słowom jego nikt nie wierzy, prośby nikt nie słucha, każdy krok tłumaczą fałszywie, obelżywie dla niego. — Tuż prawie na Sejm, przyszła wieść o śmierci Kardynała Radziwiłła, zaszłej we Włoszech, Biskupstwo Krakowskie zaważowało jak Kujawskie. O oba wszczęły się intrygi ohydne, i gdy nie było komu myśleć za coby zebrano wojsko, znalazło się aż nadto forytujących swoich Kandydatów na Biskupie stolicę! — I na Sejmie też dawały się czuć niepokoje Litewskie, gdy stronnictwa Radziwiłłów i Chodkiewiczów wyraźnie przeciw sobie stały tam nawet, gdzie

o dobro kraju chodziło. Jątrzyła jeszcze Radziwiłłów widoczna ku nim niechęć Królewska, i równie jawna skłonność jego dla Panów Chodkiewiczów.

Po Sejmie gdy Jan Zamojski zaczął zbierać żołnierza przeciw Wołochom, stawili się tu i Chodkiewiczze oba, Jan Karol i Alexander, rzucając inne sprawy swoje dla sprawy kraju. Sprawiedliwość wyznać każe, iż Radziwiłłowie nie dali żadnych pocztów na tę wojnę, używając sił swych tym czasem, na zapewnienie w kraju pewnej choć względnej przewagi nowowiercom. Odjazd też na wojnę Jana Karola z bratem dozwalał im nadziei łatwiejszego przejednania się z Kasztellanem, którego mieli pod ręką.

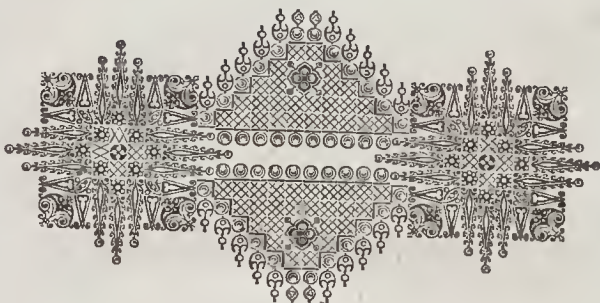




## **VII.**

**W Brześciu Litewskim.**





## VII.

### W Brześciu Litewskim.



**W**YPRAWA Wołoska trwała prawie do końca tego roku, tym czasem w Czerwcu zasiadł Trybunał w Wilnie. Tu znowu powołani PP. Chodkiewiczze, lecz gdy z jednej strony

straszeni są niechybną przegraną, z drugieję podawane im warunki zgody. Użyci przyjaciele, rozjemcy. Ostygł długa walką znużony Kasztellan, bratankowie próżno jątrzyli go listami, zalecając, aby bez nich nie czynił—; on widocznie nachylał się do zgody i sercem był za nią.

Ugoda codzień stawała się bliższą, i podobniejszą. Narcęcie na zjeździe Trybunału, obskoczony od pośredników i przyjaciół uproszonych, Kasztellan lękając się bannicji, którą zawsze jeszcze za pasem na postrach trzymano, dał ręce do zgody.

Zgodził się wydać Xiężnę za Xięcia Janusza (warując w tém jęj własną zgodę) upewnił dla swego sumienia, otrzymanie dyspensy z Rzymu? pokassowano rozpoczęte sprawy i umorzono pretensje, w części przynajmniej wynagrodzono kosztą zaciągu żołnierza. Ślub pierwszego Października tegoż roku miał się odbyć w Brześciu. Ugodę tę podpisały strony dnia 8 Czerwca. Lecz nie przeto wróciła dawna przyjaźń domów, które zostały jak były w sercach z urazą i niechęcią wzajemną.



A Xiężna? — ona się radowała zgodzić, ona cieszyła się wyglądając zupełnego końca, w serce jej jednak wrzucona myśl niebłogosławieństwa Bożego, rodziła smutne przeczucia.

Napróżno starał się je rozpędzić Xiąże Janusz, któremu teraz dozwolony był przystęp do niej, któren starał się jej okazać przywiązanie, zaciągnięte z lat młodych. Czasem wypogadzało się czoło Xiężnój, uderzało swobodniej serce, otwierała się dusza nadziei — za chwilę znowu ogarniało ją przeczucie groźne nieszczęść, niebłogosławieństwu śmierci. Zaledwie drzwi się za narzeczonym zamknęły, Zofja płakała jak wprzód, choć łez jej nikt wytłumaczyć nie umiał, widząc skłonność ku niemu nietajną.

Wkoło niej przygotowania weselne czyniono, cały jej dwór radował się, winszował przyjaciele, pochlebcy prorokowali długie lata szczęścia — ona płakała.

---

W piękny poranek jesienny, na żółtych piaskach roztoczonych pod Brześciem Litewskim, których kłębami wiatr chłodny kręcił; ukazał się długi szereg powozów i koni.

Był to dwór Xiężnój i Kasztellana ciągnący na wesele, które się tutaj odbyć miało.

W kolébec kirami złożonemi wybitój, siedziała Zofja, sparta na ręku i smutna. Wyjrzała przed siebie i zza wydm piaszczystych błysnęły wieże kościołów Augustjańskiego i Jezuickiego, białe mury Zamku na wyspie, klasztorów i domostw. Xiężna modlić się zaczęła, i mimowolnie chwycił jój serce niepokój i targać niém zaczął.

— Tu więc los mój się rozwiąże, jak chciał Bóg, jak sama pragnęłam! A przeszłość? — a przyszłość?

I nie śmiała w nią zaglądać, chociaż pewną była serca przyszłego męża i ufała w Boga. Zawsze jednak to niebłogosławieństwo, którem zagrożoną raz była, nie wychodziło jój z myśli.

Wtém naprzeciw od Brześcia konny się poczet ukazał w kłębach kurzawy pędzący ku nim.

To Xiążę Janusz, który przybywającą jechał z ojcem powitać. Na twarzach Radziwiłłów wesele, w twarzy Kasztellana smutna spokojność, u Xiężnój uśmiech kłamany.

— Witajcie w dobrą godzinę! zawołał Wojewoda, mijając kolóbkę Xiężnój, u której zostawił syna, a sam pospieszając do Kasztellana, zdjęli czapki i powitali się wzajemnie. — Dobra pora drodze służyła! rzekł Wojewoda, pogodna jesień, dni ciepłe! Mieliśmy już wiadomość o Waszém zbliżaniu się i pośpieszyliśmy przeciw Wam. P. Starosta Szereszowski uwiadomił nas o tém.

Kasztellan milczał. —

— W. X. Mość oddawna już w Brześciu? spytał, po chwili.

— Od kilku tygodni — ja i kilku przyjaciół siedzim tutaj. Przejeżdżaliśmy się do Rodnia Sapieżyńskiego i Romanowa rezydencji ich letniój. Mamy też łaskawych, co tu przybyli sproszeni na wesele i pomogli czas przepędzić. Pan Zenowicz Wojewoda Brzeski, odstąpił nam nawet swego dworu —

Kasztellan znowu o coś spytał i tak dość

oziębłe o obojętnych rzeczach rozprawiając, dojeżdżali do miasta, które coraz wyraźniej się na zieloném tle łągów nad Bużnych i siwém niebie jesienném malowało.

Xiąże Janusz jechał przy kolébce narzeczonej swojej, wesoły, dumny swém szczęściem, szeroko wzrokiem po świecie wodząc, jakby się pytał na cztery świata strony — Jestli kto odemnie szczęśliwszy?

— Jeszcze kilka dni, mówił do Zofji i W. X. Mość, polecisz los swój w moje ręce; o jak się będę starał, abym Waszój nie zawiódł nfności!

Xięzna spójrzała, podziękowała uśmiechem, nie nie powiedziała, znać co innego w myśli miała. Błada była i drżąca. Xiąże Janusz odezwał się znowu —

— Pamiętacie Xięzno, pamiętacie, ową jesień spędzoną razem w Brzostowicy! Jak była téj podobną! Pamiętacie, jakeśmy nad pozółkłym ogródkiem Waszym płakali, jak umiataliśmy żółte liście, które codzień wiatr nanosił i niemi uliczki zasypywał! Tak samo wschodziło tam słońce, nad starym la-

musiem i lipami, co go otaczały. Jakżeśmy czekali, aby się podniosło wyżej, aby nam pozwolono wyniść na tarass pałacowy i do ogródka z Panią Włodską!

— A Wy — wspomnieniem młodości poruszona odezwała się Xiężna, Wyście moim kwiatkom Waszą szablą ucinali głowy!

— Nie pomagałem ich sadzić? rzekł śmiejąc się Xiąże, miałem trochę prawo ścinać je potem?

— Czyż kto posadzi, zniszczyć powinien? spytała Zofja.

— Powinien nie, ale może — odpowiedział Janusz. — Czekaście, czekajcie, rzekł, oto niektórzy Panowie Przyjaciele i Koligaci, wyjechali przeciw Was i witać chcą. Wstrzymała się kolébka, bo liczniejszy od Wojewodzińskiego poczet sunął się przeciw niej. Na jego czele był Lew Sapięha i Zenowicz, wielu innych z partij konfederacji za nimi. Postąpili ku Kasztellanowi i głośno go witali. Zenowicz nawet nieprzebrany mówca szukający tylko okazji do figur retorycznych, skorzystał z téj i z zanadru wy-

dobywszy zwitek papierów, czytał, aż dwie oracje witające Kasztellana i Xiężnę, a w tej ostatniej puścił się tak daleko z życzeniami i prorocctwy, że ledwie woźnice zniecierpliwione konie utrzymać potrafili. Skończył wreszcie, ale tuż mu Kasztellan choć krótko z dziękczynieniem odpowiadać musiał, zwracając się nieraz, przez sam wzgląd nauczciwość i zwyczaj, ku Wojewodzie.

Ukończone mowy, posunęły się poczty do bram miasta, razem wszystkie; tu nowa zwłoka. — We wrotach z bębny, chorągwiami, baldachimem i podarkiem na półmisku srebrnym i mową długą czekał Magistrat a kahał dalej jeszcze.

Dobrze ku południowi się miało, gdy przebywszy wszystko, wysłuchawszy mów, na które odpowiadać było potrzeba i dziękować, kolébki Xiężnej i Kasztellana ruszyły do przygotowanych na przyjęcie dworów, pod Kościołem Jezuickim, w samym Rynku Miasta. — Xiąże Wojewoda z synem i przyjaciółmi, pożegnawszy u proga przybyłych, odjechał do siebie.

Nazajutrz ostatniego Października, bogate dary przyniesiono od Xięcia Janusza dla narzeczonej i cały dzień na pisaniu ślubnej Intercyzy upłynął. Wzmianki tam w niej nie było jeszcze o zapisach, na któreby był, jako opiekun, Kasztellan nie pozwolił. Radziwiłłowic nie okazali najmniejszej chęci wyrobienia daru ogromnych dóbr, które Xiężna w ich dom wносиła — Xiąże Janusz nie ukazał się dzień cały. Tym czasem strojono Jezuicki kościół, w którym Unicki Mnich Ruski, ślub miał dawać dostojnym nowożeńcom; sposobiono ucztę jedną we dworze Kasztellana, drugie w Wojewody; całe miasto było w ruchu i od napływu gości przybyłych pełne ludzi, kolass i koni coraz jeszcze i co chwila przybywających z różnych stron. —

Dnia pierwszego Października z największą jak być może wystawą odbył się późnym wieczorem obrzęd ślubny w Kościele XX. Jezuitów; do którego pieszo szła Xiężna, drogą suknem od domostwa swojego wysłaną, w asystencji mnogiego dworu i przyjaciół. Za nią szedł Kasztellan. Z drugiej strony

przyciągnął przepyszny orszak Radziwillów. Wszysey na koniach w bogatych rzędach i wysadzanych kulbakach, sami świecący od złota i drogich kamieni.

Połączona para wróciła pieszo do dworu Kasztellana, gdzie się rozpoczęła uczta wspólna, trwająca do białego dnia. Wedle powszechnego na ów czas zwyczaju, oddawanie Panny młodój, odbyło się uroczyście i wobec wszystkich, w łóżnicy. Oddawał ją Xięciu Januszowi, sam Pan Kasztellan. Mowa jego z téj okoliczności miana, krótka, poważna; jak zwykle wszystkie oweczesne, polecając pięczę nad żoną mężowi, zalecając mu, aby się starał o jój szczęście, wynosiła wysoce dom Xiążąt Słuckich, którego ostatnia dziedziczka, wchodziła w nową familją. Napomknął też zdaleka Kasztellan o zajściach z powodu tego małżeństwa wynikłych i jak one drogo kosztowało, wzięwszy z tego *assumpt*, do najgorętszych życzeń szczęścia dostojnej parze.

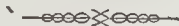
Od Xięcia Wojewody Radziwilla, odpowiadał z podziękowaniem P. Zenowicz i dla okazania jako Xiężna nie nie traci zamienia-

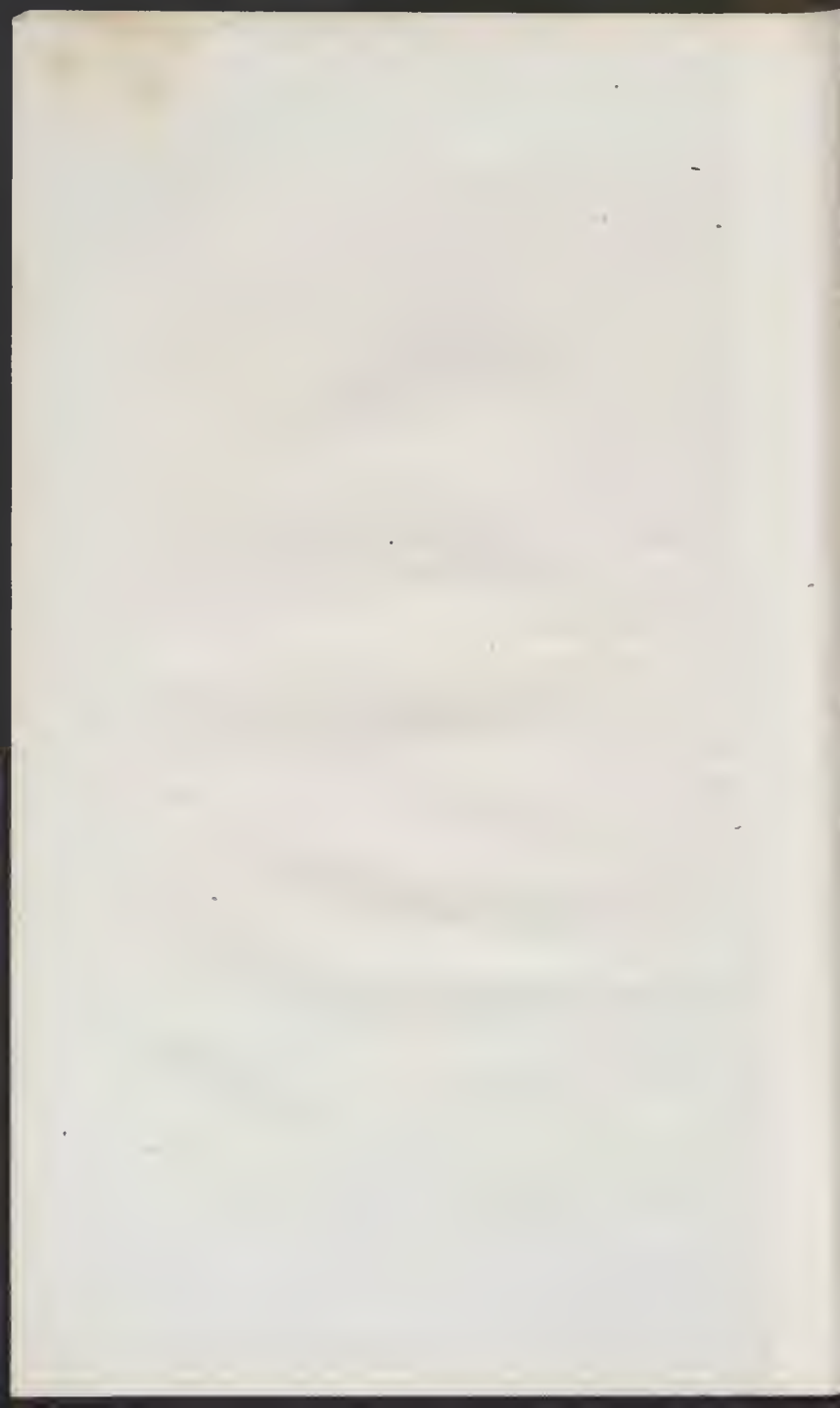


ję sławne imię Olelkowiczów na Radziwiłłów, jał szeroko się rozwodzić nad domu Xiążęcego ilustracjami, nie przepomniawszy, ani orlego gniazda Lezdejki, ani Barbary żony Zygmuntovej: ani nawet Kardynalskiego kapelusza świeżo zmarłego Biskupa Krakowskiego. Wyliczył Kolligacje, wysławił czyny pojedynczych osób, zamknął podziękowaniem i upewnieniem iż w dobre ręce oddaje opiekun szczęście i losy Xiężnój.

Nastąpiła cukrowa wieczerza i goście powrócili do puharów w sali wielkiej, które wypróżniali jeszcze i o białym dopiero dniu do gospód rozjechali się. Nazajutrz powtórzyły się uczty u Xięcia Wojewody z większym jeszcze przepychem, które trwały tydzień cały. Rasztellan nie czekając rozjechania się wszystkich, powrócił do Wilna —

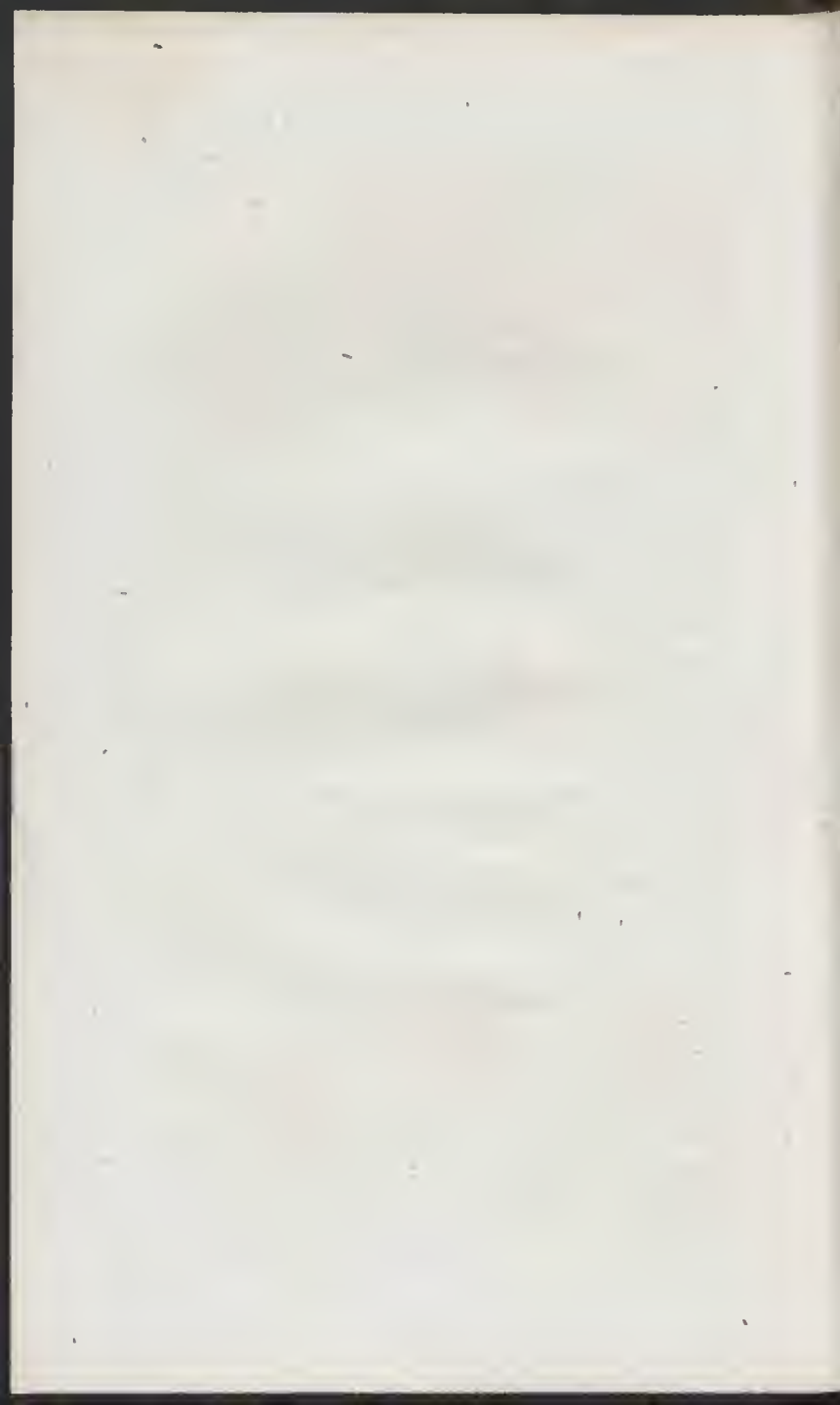
Xięstwo młodzi wyruszyli wkrótce potem z Brześcia do Nieswięża, i gdy Zamojski, Żółkiewski, Chodkiewicz, bili się na Wołoskiej wyprawie, w kraju rozlegały się Zamki odgłosem moździerzy strzelających vivaty i wesołą muzyką.

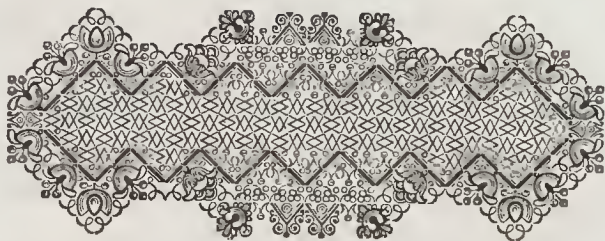




## **VIII.**

**W lat dziewięć.**






## VIII.

### W lat dziewięć.



 yło to w roku 1609; jednego smutnego dnia jesieni. Na Zamku Nieswiżskim, w oddalonej od zgiełku i wrzawy komnacie; której okna osłonięte były zielonemi

adamaszkowemi firanki, na łożu wysłaném wysoko, pod pawilonem ziclonym ze złotemi sznurami i frędzlami, leżała kobiéta młoda jeszcze, ale blada i wychudła. Włosy jćj rozpuszczone czarne, na białćj rozsunęły się poduszce, jedną ręką nasuwała na siebie nakrycie podbite futrem, drugą trzymała chustkę na ustach sinych i spiekłych. —

U nóg jćj siedziała młoda jak ona, jak ona zwiędła kobiéta, smutnie jćj patrząc w oczy. Milczały, spoglądały na siebie i rozumiały się.

Cichość była w komnacie, którą zégar tylko powolnie ruszający się przerywał jednostajnym chodem, a nickiedy trzask dopalającego się na kominie ognia.

— Teresso, zawołała kobiéta leżąca na pościeli, popraw ognia — mnie zawsze zimno, ja drzę.

Kobiéta u nóg siedząca powstała i zaczęła dokładać drewek w milczeniu, potem wróciła na miejsce i okryła panię swoją, drugiem jeszcze futrem.

— Jeszcze zimno, Xiężnej Pani? spytała.

— Jeszcze — zawsze! odpowiedziała cho-

ra, na chwilę, pali mnie ogień we wnętrznościach, płomienie chodzą po głowie, świecą w oczach; pieką rozżarzone dłonie — potem znowu śmiertelny dreszcz porywa i zimno, tak zimno, tak okropnie zimno! Daj mi pić!

Służąca podała Xiężnie kubek z przygotowanym napojem, chora do ust go dotknęła, skrzywiła się i oddała nazad.

— Daj mi wody — szepnęła cicho — to napój, który mnie nie ochłodzi, gdy mi się pić chce, ale rozżarza pragnienie. I gorzej mi po nim jeszcze. Patrz jak usta moje spiekle, jak wyschły, daj mi wody?

— Lekarz zakazał, odpowiedziała sługa.

— Lekarz! Bo pocóż słuchać lekarza zawołała chora podnosząc się — lekarze ciągle mnie męczą i resztę zdrowia odebrali i życie pewnie odbiorą. Zlituj się nademną, daj mi wody! Ja i tak żyć nie będę. Możeż mi jeszcze co zaszkodzić, gdy już nic nie pomaga. Teresso, na zbawienie twoje zaklinam cię, daj mi wody!

I Teressie łzy się zakręciły w oczach, wahała się, potem wyjrzała przeze drzwi i spie-

sznie podała Xiężnic kubek z wodą, któren chora odrazu wypila. Potém upadła na poduszkę i drżać zaczęła znowu i pociągala na siebie wszystko co było, aby się ogrzać.

— O! jak ta śmierć ciężka! Tak długo się o nią modlić potrzeba, tak bardzo cierpieć, tyle wyglądać, aż przyjdzie wrście! Mój Boże, czemużem nie zmarła młodą, szczęśliwą w nadziejach przynajmniej! — Ale Bóg skazał na życie, na cierpienie!!

— Nacóż bo W. X. Mość, zawołała Teressa, dręczysz się temi myślami, da Bóg zdrowie i siły. Złe przejdzie, przyjdzie dobre. Pan Doktor codzień upewnia, że W. X. Mość masz się coraz lepiej.

— Ja czuję, że gorzej coraz — coraz bliżej jestem grobu. Nikt lepiej odemnie nie wie co się dzieje ze mną — Ja umrę, umrę prędko Teresso, i tém się pocieszam —

— Alboż nie masz W. X. Mość żyć dla kogo!

— Dla kogo! Mamże ja kogo, coby mnie kochał, komubym była córką, krewną! Krewni — nie przyznają się do mnie; a mąż —



— Może kto słuchać? ostrzegła Teressa.

— Niech słuchają, to nie tajemnica — mąż nie ze mną się żenił.

— Jakto? Xiężno — zawołała Teressa.

— O! wiedzieli dla czego bić się o mnie chcieli, mówiła Zofja — nie dla mnie to, ale dla majątków, które wzięli po mnie — Prędko potem poznałam niebłogosławieństwo Boże nad głową. Dawne dziecinne przywiązanie Xięcia Janusza, zmieniło się w obojętność; — on poszedł bić się znowu z Chodkiewiczami o Starostwa, o Królewskie łaski, porzucił mnie, zapomniał. A jeśli kiedy przyleciał tutaj, czyż rzekł mi dobre słowo, czy pokazał serce mężowskie? Zawsze w sercu jego pierwsza дума i chęć wzniesienia się — a reszta drugiem była. Z początku jam nie wierzyła w nieszczęście, choć miałem zawsze przeczucie jego; jam szukała w Januszu, towarzysza lat młodych, Brzostowickiego mego Jasia — on się stał tak bardzo innym! — Codzień opadały jak kwiaty, moje nadzieje przeszłe, szczęścia — Wkrótce zostałam wdową, nie będąc matką, bo kiedyż go widzę? i jak

go widzę Teresso, gdy z wyprawy, z wrzawy powróci, z poczem przyjać i siedząc tu tygodnie, raz lub dwa twarz mi swoją pokaze! — O! lepiej umrzeć i czas już umierać. Nicdarmo mówił stryj o niebłogosławieństwie Bożem! Widoczne ono nad głową moją.

Teressa nie na te skargi nie odpowiedziała, pochyliwszy głowę na rękach, słuchała w milczeniu swęj Pani, a łzy się jęj w oczach kręciły.

— Gdybyż na pociechę, dałby mi był Bóg choć dziecię! mówiła Xiężna — ale nie, dzieci błogosławieństwem są Bożem, a nad moją głową niebłogosławieństwo. Xiądz nas łączył a — nie błogosławił, on przysięgał usty nie duszą, jam przysięgała płacząc, bo czułam moją przyszłość przed sobą.

— Powiedz mi Teresso, ozwała się po chwili. Czy wszyscy tak ludzie zmieniają się w ciągu życia i pełną — czy wszyscy tak zapominają! —

— W. X. Mość, odpowiedziała sługa, może nadto wyobraziłaś sobie i nieszczęścia i obojętności od męża. Mężczyzna, musi służyć

krajowi, musi iść na wojnę, musi walczyć, musi za domem większą część wieku pędzić, nie jak my u spokojnych krosien.

— Ach, wiem ja to przerwała Xiężna Zofja, lecz czyż mus mężczyźnie wichrzyć i na głowę swoją wieść wojny, a na kraj zaburzenia? dobrowolnie wzniecać niepokoje? A potem — Czyż siedząc tu nie mógłby mi okazać dawniej przychylności, jedném słowem, jedném spójrzeniem; gdy ja oto, śmierci tylko lada chwilę wyglądam? Czyż nie mógłby mi tych kilku godzin życia osłodzić —

— Xiężę —

— Próżno tłumaczysz Xięcia — Ty chciała-bys mnie pocieszyć! Ja nie chcę kłamstwa! ja czuję jak jest, ja wiem o wszystkiém! On nie mnie kochał, nie o mnie im szło, ale o bogate wiano — Ja byłam niczém w ich oczach, tamto wszystkiém!! Poznałam teraz, wiem — Bóg tak chciał. —

I poczęła drżać i okrywać się od zimna.

— Gdyby umrzeć, gdyby umrzeć prędzej, zawołała płacząc. Takie życie, to śmierć powolna, to męka!

I modliła się ze łzami.

Wtém uchyliły się drzwi komnaty i wszedł mężczyzna posiwiący już, zgarbiony, z laską w rękę, w cudzoziemskim czarnym stroju. Był to lekarz nadworny X. J. Mości.

Spójrząwszy na niego, mogłeś wyczytać w twarzy, i charakter jego i historją. Na pokrzywioném licu, które krajały wszérz i wzdłuż marszczki i doły, rozsypane były czerwone plamy, sine guzy, białe blizny. Z między powiek obwisłych, niedostrzeżone prawie wyglądały mu oczy jasne i prawie białe; usta skrzywione w jedną stronę, drgały mu dziwacznie. Nizkie czoło włos siwo-brudny pokrywał aż do brwi prawie, dalej głowa była łysa zupełnie i tylko dokoła trochę tójże barwy włosów pokryta, które kawałami tu i ówdzie przerzucały się. Zgarbiony i na jedną nogę kulawy, podpięrał się laską z gałką pozłocistą. Cudzoziemiec przeżywszy w kraju lat kilkadziesiąt, znał język tutejszy, zwyczaj narodowe i ducha narodu. Usłużny, podły, każdemu się lizał, przed każdym się płaszczył od kogo czegoś się mógł spodziewać.

Taki był Frizjus lekarz nadworny Xięcia Jego Mości.

Xiężna nie lubiła go; on ją leczył od dwóch lat, zapowiadając jój niemal codziennie polepszenie zdrowia, które się widocznie pogarszało. I teraz przyszedł on z zwykłym uśmiechem, ukłonem, z zwykłemi nadziejami.

— Xiężna Pani, zdrówsza, gorączka mniejsza, puls wolniejszy, cera czyściejsza! Chwała Bogu! chwała Bogu, Frizjus się cieszy! Frizjus winszuje J. X. Mości.

— Niéma się czego cieszyć ani winszować, odpowiedziała Xiężna łagodnie — ja się mam gorzej, coraz gorzej! —

— Co! gorzej! zawołał lekarz, gorzej! Cha, cha! To się W. X. M. ze strachu tak wydaje; ale Frizjus mówi lepić, jemu trzeba wierzyć; Frizjus się na tém zna. Tylko potrzeba spokojności, trzeba wierzyć, trzeba lekarstwo brać, tyzannę pić, a nie płakać, nie męczyć się myślami. To najgorzej szkodzi! Frizjus powiada, że ludzie którzy myślą, samą myślą chorobę sobie zrobić mogą. Naco te myśli i rozmysły! Spo-

kojność! Kiedy Frizjus ręczy, że W. X. Mość wyleczy.

Xięzna zamilkła.

—Mój Panie, czy nie mógłbyś, odezwała się po chwilce, pozwolić mi wody, wasza tyzanna mi szkodzi, a pragnienie pali!

—Wody! zakrzyczał lekarz z oburzeniem— Woda to śmierć dla W. X. M. tyzannę pić— Wyborna! wyborna! Frizjus ręczy! Sam ją sporządzałem z wiadomych mi ziół i ingrediencji przedziwnych. Droga i nieoszacowana tyzanna!

Xięzna znowu zamilkła.

Doktor obejrzał flaszki stojące na stole, poszeptał do ucha słudze i wychodził.

—W. X. Mość, niech raczy być spokojną! Frizjus ręczy za zdrowie Jój! Coraz lepiej! coraz lepiej. Dobrój nocy, W. X. Mości!

—Byliście dziś u Xięcia? spytała słabym głosem chora.

—Byłem, zdrów i wesół, zabawia się z przyjaciółmi i krewnemi. Niech mu Bóg

da długie lata. Frizjus z jego łaski ma kawałek chléba.

— Nie pytał o mnie?

— Spuszcza się na Frizjusa i dobrze robi, odpowiedział lekarz, radzę to i W. X. Mości. Dobrój nocy, a tyzannę pić! to zdrowie powróci!

Drzwi się zamknęły.

— Piłabym ją, gdybym wiedziała, że mnie prędzój umorzy, cicho odezwała się Xieźna— cóż kiedy męczy tylko! Kłękniij Teresso i mów głośno wieczorne modlitwy; ja choć duchem modlić się będę z tobą!



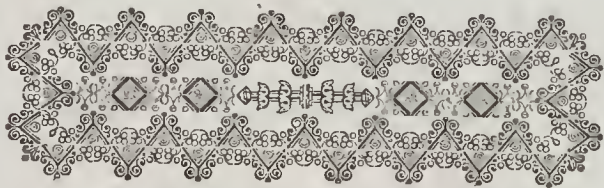




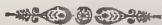
## **IX.**

**Łoże śmierci.**





## IX.

**Łoże śmierci.**

W DRUGIM rogu zamkowym, na wiel-  
kiej sali, wesoła uczta. Tam ze-  
brali się przyjaciele Xięcia Janusza, jego słu-  
dzy, szlachta powinna mu i familji; tam

stół nakryty, zastawny misami i pułtary, wrzawa rozmowy wesółej; śmiechy i wykrzyki.

Już się kończy wieczerza, już beczka srebrzem kuta stojąca w kominię, wypróżniona prawie i kurzą się łysiny i czerwienieją policzki i języki latają chyżej i vivat po vivacie zmyślają, na cześć i chwałę Xiążęcia.

A Xiąże uśmiechając się, pogardliwym wzrokiem mierzy pijanych, szydzi z nich w duszy, choć klania im się i braci słachtę serdecznie ściska.

Słachta nie widzi szyderstwa na oczach Xiążęcia, nie pojmuje pogardy jaką na nich z ust rzuca, pijana słachta pójdzie w ogień za niego, bo ją nakarmił, spoił, naściskał i braćmi swemi nazywał.

— Rozkazuj Xiąże słachcie, woła Sędzia Lidzki, rozkazuj, a Chodkiewiczowskich Deputatów posiekamy na kapustę w czasie Sejmiu! Dla Xięcia Pana damy się pozarzynać!

— Dziękuję braciom słachcie, woła Xiąże Janusz, héj pułhara, zdrowie braci słachty! Podawajcie wina.

I Xiąże wypił ich zdrowie, a oni uklękli

i klęcząc pili Xiążęce, podrzucali czapki do góry, wrzeszczeli na całe gardło

— Vivat Kasztellan! vivat!

Xiąże dziękował.

— M. Xiąże, zawołał na głos słachcie z Nowogrodzkiego — Wszyscyśmy Twoi, gdzie rozkażesz pójdziemy. Każesz drugi rokosz zrobić zrobim, każesz iść z sobą, pójdziem choćby na Arabów, każesz rąbać na Sejmikach, porąbamy, sądzić, osądziemy, słachta Twoja.

I znowu pułhary i znowu vivaty — Radziwiłłowskiego domu!! Bracię słachty! Pod oknami stoją moździerze, bij w moździerze i kotły — Vivat!

Wystrzelono.

Chora Xiężna porwała się z łóża, na którym usypiać zaczynała —

— Co to jest zawołała — co to jest, strzelają, biją się! — Chodkiewiczów oblegli — Krew się leje, wojna między braćmi! Na Boga, jam przyczyną! o mnie się biją!

— Xiężno, przerwała Teressa — co za sen okropny — nikt się nie bije —

— Słyszałam strzelanie!

W tój chwili drugi wystrzał dał się słyszeć.

— Co to jest, bitwa? drząc i załamując ręce, cicho, przerywanym głosem pytała znowu Zofja — Co to jest?

— Strzelają z moździerzy na vivat! odpowiedziała Teressa — Uczta u Xięcia, sproszono słachtę, Sejmiki blizkie.

Xiężna upadła na łoże.

— Strzelają i weselą się! powtórzyła jakby do siebie mówiąc — On tam weseli się, gdy tu ja umieram! O gdyby umrzeć prędzej! Gdyby tego nie słyszeć, nie wiedzieć, nie widzieć.

Wśród ciszy nocnej, wykrzyki pijanej słachty, dochodziły okien Xiężnej i były w nie wrzawą stłumioną.

— Weselą się! weselą, wołała — cieszą! Xiąże Pan z niemi — Nie mógł przyjść do łóża żony, bo tam go czekała słachta, tam była uczta — Wolał zostać za puharem i stołem, niż u łóża umierającej.

Założyła ręce, powiodła obłąkanemi oczyma po komnacie, spuściła głowę na piersi.

Teressa siedziała w nogach i płakała tajemnie łzy ociérając.

— Cóż mój ród zawinił Bogu, że Bóg tak srodze, ostatnią za wszystkich ukarał, szepiała, takiem życiem, taką śmiercią? O! dziadowie moi nie mogliście lepszego życia i łatwiejszej śmierci, dziecku waszemu w niebieszech wyprosić. — I te godziny nocy, w których sen rzadki na oczy Bóg zsyła, przerywa odgłos uczty wesolej Janusza! Któżby był odgadł przed kilką laty, że teraz taki koniec mój będzie — Dobrze mówił stryj, nad głowy naszymi niebłogosławieństwo Boże!!

Teresso mów modlitwy, ja się z tobą modlić będę.

Zapukano do drzwi.

— To pewnie Frizjus — rzekła Xieźna.

Był to Frizjus wistocie. Przychodził zobaczyć co się działo z chorą i jak zawsze powtórzył —

— Xieźna Pani, ma się lepić — spała już trochę!

— Ledwie oczy zmrużyłam, odpowiedziała, zbudziłam się przelekła na odgłos wystrzałów.

— Ha! ha! to Xiąże Pan ucztuje! rzekł le-

karz. Daj mu Boże zdrowie, dobremu Pann! weseli się ze slachtą.

I przystąpił do łoża, wziął pulsu, spójrzał w twarz Xiężnej, potrząsł głową, nie rzekł więcej — że ma się lepiej, zalecił pić tyzannę i wyszedł.

Zawarłszy drzwi komnaty, pokiwał głową, stanął, myślał, patrzył; i szybko posunął się przez szereg komnat, ganki i dziedzińce, do sali, w której Xiąże Janusz ze slachtą ucztował.

Wsliznął się w tłum nieznacznie i przybliżył do Xięcia, któremu nisko się pokłonił.

— Frizjus chciałby mieć szczęście, mówić z Xięciem Jego Mością dwa słowa?

— Cóż tam? mów Frizjus!

— Xiężna Pani, szepnął lekarz, ma się źle bardzo, bardzo źle — nie wiem czy tyzanna i pigułki pomogą co — Choroba wzmaga się coraz bardziej.

— Umiéra! zakrzyknął Janusz porywając się —

— Nie jeszcze, nie — prędko z niskim ukłonem, rzekł Niemiec — ale nie mogę ręczyć,



nie mogę ręczyć. Xiężna Pani bardzo źle, Frizjus w rozpacz! Zasnęła była chwilę, strzelanie ją przebudziło, przestraszyło—porwała się ze snu i gorzej jest co chwila. Frizjus miał sobie za smutny obowiązek donieść o tém W. X. Mości —

Xiąże zamyslił się — Potém skinął ręką na któregoś z swych poufałych —

— Zostań tu gospodarzem, Panie Pietkiewicz, rzekł, ja muszę odejść —

I wyszedł niepostrzeżony, zwoławszy dwóch z biesiadniczej sali.

Weszli do pokoju Xięcia.

— Jesteśmy na rozkazy!

— Siadaj i pisz, Panie Ostromecki rzekł Xiąże, siadaj i pisz natychmiast donacją, od Xiężnej Jój Mości Xięstw Kopylskiego i Słuckiego na mnie—przelanie jój praw, tytułu—rozumiesz?

— Rozumiém Jaśnie Oświecony Panie, rzekł suchy i chudy Ostromecki, zaraz pisać?

— Natychmiast. Naradz się Wasze o formę z znajdującemi się tu urzędnikami i wygotuj akt jak należy do rana.

— Prosiłbym W. X. Mości o potrzebne papiéry.

— Do Archiwum! zawołał Xiąże Janusz, niech ci wydadzą —

— W Mość, rzekł do drugiego, jedź po Xiędza Prokopa —

— Natychmiast?

— Tój chwili.

Skinął, odprawił, a sam usiadł pisać. Po krótkiej chwili, miotany widoczną niespokojnością, wyrwał się z komnaty i przebiegłszy Zamkowe sale, udał się pod drzwi pokoju żony.

Nadstawił ucha i słyhać było głos Teressy odmawiającej modlitwy, za którym Xiężna osłabionym, stłumionym głosem, powtarzała je powolnie.

— Módlmy się za nieprzyjaciół naszych czytała Teressa.

— I za tych co nas obrazili.

— I za tych, powtórzyła Xiężna, którzy nas zdradzili i uwiedli — Przebacz im Panie. Przebacz jemu!

Umilkła.

— Dość Teresso, dość, słabo mi, mówić nie mogę, zasnę może.

Xiąże rozkazał pokojowcowi wywołać P. Teresę.

— Xiężna Pani gorzej? zapytał jój surowo.

— Coraz gorzej, odpowiedziała z westchnieniem. Dziś gorzej niż kiedykolwiek, przerażało ją strzelanie z moździerzy—Zasypia i zrywa się, krzycząc przez sen z gorączki.

— Myślicie że nie wytrzyma nocy? spytał zimno Xiąże.

— Niech Bóg uchwala nas od tego nieszczęścia! twarz zakrywając rękoma zawołała sługa. Alboż wiem! I zaczęła płakać.

Xiąże spójrzał, wzruszył ramionami i odszedł; a idąc przez puste komnaty mówił do siebie.

— Gdyby umarła, umarła bez zapisu, bez ostatniej woli! Na cóż bo było spuszczać się i do ostatniej chwili odkładać, sam winienem, sam winienem. Potrzeba było wcześniej o tym pomyśleć.

Wrócił i słuchał u drzwi—Nic słyhać nie było, tylko trzask palących się drewek na ko-

minku i chód powolny zégaru. Xiążę poszedł niespokojny do siebie; nim ranek nadszedł, posyłał kilkakroć dowiadywać się, czy Akt wieczystej donacji gotowy, czy Xiądz Prokop przyjechał, czy Xiężna zdrówsza i co robi.

Tak oka nie zmrużył noc całą i nad świtanie usnął dopiero, rzucany przez sen niespokojnemi myślami.

Gdy się przebudził, już oddawna P. Ostromecki czekał w przedpokoju z pliką papierów, a Xiądz Prokop paciérzce odmawiając poranne.

— Jak się ma Xiężna? spytał niespokojnie.

— Jak wczoraj!

— Zawołać Frizjusa!

— Frizjus czatował już między zebranemi w przedpokojach i wysunął się jak mógł najprędzej do Xięcia.

— Byłeś tam dziś?

— Byłem — byłem! Frizjus płacze! odpowiedział, sztuka nic już nie nada! życie się wyczerpało! Żle, źle! Nie mam co kryć przed Waszą Xiążęcią Mością — Czynilem co mogłem!

— Wiele jeszcze pożyć może? spytał Xiąże.

— Może — kiwając głową odpowiedział lekarz, praeter, propter — do wieczora!

— Ręczysz za to!

— Bóć tylko wié, Frizjus nie śmie ręczyć!

— Zawołać Ostromeckiego!

I Xiąże tyłem się do doktora odwrócił, a on wyszedł.

— Akt donacji?

— Gotowy. Radziłem się *ad formam* Pana Sędziego Nowogródzkiego i Pana Deputata Czerwiakowicza; approbowali moją jakom podał. Zapis obejmuje *generaliter* cały wniosek Xiężnej Jéj Mości, Xięztwa Słuckie i Kopylskie *cum attinentiis*, wszelakie ochędóstwo, ruchomość etc. etc. nic nie wyjmując i nie odłączając.

— Zapis ten nie może być zaprzeczony, skasowany? spytał Xiąże — Wiém, że PP. Chodkiewicze, protest przeciw niemu zapiszą i pieńić mię będą. Potrzeba się formą obwarować, aby walor miał.

— Forma jak tylko być może najbardziej

prawna — rzekł Ostromecki, Wasza Xiążęca Mość, może być spokojną zupełnie.

— Xiędza Prokopa!

Uchyliły się drzwi, któremi razem wyszedł Pan Ostromecki zaciérając ręce i wsunął się Mnich Zakonu Ś. Bazylego z niskim ukłonem. Niemłody już, pochylony trochę, choć i tak jeszcze wysokiego wzrostu, Ojciec Prokop, miał postawę mnicha rycerza. Czoło wyniosłe, usta dumne, nos orli, oczy wielkie i palające, choć zmarszczkami otoczone. Było mu w téj sukni duchownej, zawadno, nie do charakteru, jakby się w nią dla igraszki tylko przebrał. -

Na niski dość pokłon Ojca Prokopa, skienieniem tylko głowy odpowiedział Xiąże.

— Xiężna Pani, małżonka nasza miła, źle się ma bardzo, rzekł zaraz. Chciéjcie uwiadomiwszy ją wprzód o Waszém przybyciu, udać się tam zaraz. Starajcie się ją przygotować do uczynienia rozporządzenia które na wszelki przypadek, będąc potrzebne z porządku rzeczy, nikogo nie umarza i jest tylko ostróżnością konieczną.

— Rozumiém i uczynię, odpowiedział Xiądz Prokop.

— A jeśli miarkować będziecie, że się nakłania Xiężna Pani, dacie tu znać.

— Idę spełnić rozkaz! I Ojciec Prokop się wysunął.

Pacholik Xiążęcy przeprowadził go do oddalonych komnat Xiężnej Pani. Ale tu nie zaraz wszedł, oznajmiwszy się wprzód poufałej Pannie Teressie, która przygotować miała Zofję.

— Xiądz Prokop przyjechał? rzekła zcicha Teressa siadając u łóża Pani, jest w Zamku—

— Posyłano za nim? spytała Xiężna.

— Nie—nie wiem—odpowiedziała Teressa.

— Ja wiem że posyłano. On tu jest niedaleko; Powiedzcie mu niechaj wejdzie.

Teressa wyszła, skinęła i wiodła Ojca Prokopa.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, rzekł wchodząc.

— Na wieki, szepnęła Xiężna pocichu, siadajcie, Ojczy. Dzięki Wam, żeście przybyli tutaj, właśnie miała prosić, aby po Was

posłano. Wybiéram się w długą drogę, potrzebne mi Wasze błogosławieństwo i uspokojenie duszy.

— Błogosławieństwo, spowiedź, zawsze się zdadzą, rzekł Xiądz, chociażby nie na drogę wieczności. Wasza Xiążęca Mość nie powinnaś myśleć o śmierci — Bóg daje zdrowie w chwilach najmniej spodziewanych, gdy łaska Jego Najświętsza zstąpi. W. X. Mość, przy swój młodości, możesz się jeszcze spodziewać długiego da Bóg życia —

— Ach! nie chcę go Ojcie! odpowiedziała Xiężna, nie pragnę wcale! Sprobowałam dosyć — Śmierć mi nie straszna.

— Żadnemu Chrześcijaninowi dobremu straszną być nie może, rzekł Ojciec Prokop. Kto w życiu nie miał zgryzot sumienia, ten przy śmierci, nie lęka się wieczności.

Mówił tak dłużej jeszcze Ojciec, a Xiężna milczała. Po chwili kazała się usunąć Teresie i odbyła spowiedź.

— Ojcie, rzekła potém spokojnie, dajcie mi pomazanie ostatnie!

— Lecz może —



— Dajcie mi je—powtórzyła, ja czuję śmierć moją, a tak spokojnie umrę.

Obrzęd ten odbył się w przytomności kilku sług tylko. Xiężna spokojnie i pobożnie go spełniła, na jej twarzy nie widać było tego strachu, jaki gdzie indziej rodzi myśl śmierci i obrzędy przypominające ją; owszem modląc się przyjęła Oleje Świete, jak gdyby pragnęła i wyglądała końca życia i cierpienia. I modliła się potem jeszcze ze łzami, modliła długo, serdecznie.

— Teraz, rzekł Ojciec Prokop, gdy wszystko się spełniło; jako Kapłan dla spokojności sumienia W. X. Mości przypomnieć Jój muszę, iż naprzód pomyślawszy o duszy nieśmiertelnej, powinien także Chrześcijanin, zostawując na ziemi krewnych, przyjaciół, niechętnych, majątność, uczynić stosowne rozporządzenie własności, aby ona potem przyczyną zająć, sporów i zgorszenia nie była; powinien tak zostawić wszystko, aby umierał spokojny na sumieniu i na duszy. Nie mówię ja tego, dla tego żebym się lękał o życie W. X. Mości, które spodziewam się będzie jeszcze najdłuż-

sze i najszczęśliwsze; ale że taki powszechny porządek i że jako stróż sumienia obowiązany jestem —

Xiężna słuchała, lekki szyderski uśmiech błakał się po jēj ustach.

— Uczynię co potrzeba—odpowiedziała, i o Waszym Słuckim Monastérze nie zapomnę. Módlcie się za duszę moją i rodziców i dziadów moich!

Xiądz Prokop dopełniwszy swego przychodzącego obowiązku, wychodzić miał.

— Będziecie u Xięcia małżonka mego? spytała Zofja —

— Idę do niego—rzekł Prokop.

— Proście go odemnie, aby się ze mną zobaczył, powiedzcie mu że jestem źle i czuję się coraz gorzej. Życie ucieka, niech przyjdzie do łóża konającój — niech przyjdzie. Powiedzcie mu żem go prosiła.

— Śpieszę spełnić wolę W. X. Mości—odpowiedział Ojciec Prokop i wyszedł z poselstwem do Xięcia Janusza.

Xiąże oczekiwał go niespokojny.

— Wszystkom dopełnił, rzekł Kapłan, Xię-

żna Pani przykładnie i świętobliwie dopełniła spowiedzi, przyjęła viatyk. Powiada, że czuje się gorzej coraz, chociaż ja od ostatniej mojej tutaj bytności, pogorszenia i różnicy nie widzę. Poleciała mi prosić W. X. Mości, abyś —

— Co mam uczynić?

— Abyś poszedł ku niej i nawiedził ją.

— Będę tam! odrzekł Xiążę—Ostromecki, gdzie papiéry? zawołał.

— Oto leżą przed W. X. Mością.

— Uproście na świadków dwóch panów sąsiadów, albo i więcej, żeby się pisali pieczętarzami do Aktu —

— Znajdziemy ich gdy będzie potrzeba.

Po tych kilku słowach, wyrzeczonych zimno, Xiążę wyszedł z swojej komnaty i udał się do żony. Przyszedłszy do drzwi, chwilę się zastanowił, jak gdyby myśli zbierał, potem po cichu rozwarł je i wszedł.

Na twarz bladą Zofji, wystąpił rumieniec; powstała na łożu i powitała go łagodnie, jak gdyby mu nic do wyrzucenia nie miała. Xiążę Janusz zmieszany kilką słowy ją pozdrowił.

I na jego twarzy znać było poruszenie, nie umiał mówić, nie wiedział co powiedzieć; widok chorój zmieszał go widocznie. Zdało się jak gdyby zgryzota sumienia, ozwała się po długim milczeniu.

— Dzięki Wam, żeście chorą nawiedzili, słabo powiedziała Xiężna, własnem żądała widzieć się z Wami. Ja mam się źle i czuję śmierć przed sobą — potrzeba było się pożegnać!

I wyciągnęła do niego rękę wyschlą, którą Janusz w milczeniu ucałował.

— Chciałam też póki czas, mówiła dalej, rozporządzić majątnością moją, którą Wam oddaję i przekazuję, zupełnie. Każcie się modlić za duszę Zofji!

Xiąże poczérwieniał i poruszył się na krzesle; jemu przypomniały się może młodsze lata i uczucie młodsze, przyszło wspomnienie dziecinnych chwil z Zofją spędzonych, gdy ją miał na zawsze utracić.

— Dajcie mi ten zapis, któryście kazali sporządzić, ja go podpiszę póki mam siły — rzekła.

A Janusz porwał się z krzesła.

— Ojciec Prokop, mówił Wam o zapisie? zawołał żywo — Wićcie o nim?

— Wićm o nim ale nie od Xiędza Prokopa — odpowiedziała, czułam że być powinien uczyniony ten Akt — Dajcie mi go — Macie go przy sobie!

Zdziwiony Xiąże, dobył papierów, Teresa na skinienie Pani, podała pióro i Zofja podpisała go. Potém upadła na łóżko i westchnęła. —

— Ustąp Teresso, rzekła i zostaw nas samych.

— Xiąże, rzekła gdy byli sami — to zapewne ostatnia chwila razem, ostatnia moja z Tobą! Ja umrę dzisiaj! W nocy ukazał mi się duch ojca i matki w białych szatach, wołali na mnie i wzywali ku sobie —

— To sen — powiedział Xiąże —

— To było widzenie z nieba! mówiła Zofja i nie myślcie żebym się lękała śmierci!

Podała mu znowu rękę.

— Jakże i teraz nawet, ciągnęła dalcj, i teraz nawet, nie będziesz dla mnie, nie poże-

gnasz mnie, dawniejszym jak byłeś w młodych latach? Zawsześ zimny Januszu! zawsze duszą gdzie indziej!

Na tę wymówkę pierwszą w życiu, zadrżał Janusz; już przed chwilą widok Zofji przejął go był i poruszyło teraz te kilka słów łagodnie wyrzeczonych, a tém bardziej dotyczących, doszły do głębi jego duszy. Duma, chciwość, ustąpiły na chwilę z serca jego, zapomniał z czém przyszedł, ujrzał przed sobą Zofję tylko lat dziecinnych, Zofję którą kochał braterskiem sercem, nim przyjął do niego uczucia, co wygnały precz przywiązanie; zapomnieć kazały miłości narzeczonego i brata.

On ukląkł przed nią i schwyciwszy jej rękę, zapłakał.

Zofja ujrzała to, zajasniała radością, podniosła się — nie wierzyła oczom.

— O! jak niesłusznie narzekałam, zawołała — o! jak dobry Bóg, który mnie taką chwilą przed śmiercią obdarzył, jak dobry Ty jesteś, żeś Zofję przypomniał, żeś mi pokazał iż nie zewszystkiem zapomniałeś mnie jeszcze! Dzięki Ci! dzięki! Słodko mi bę-

dzie umierać, Januszu, Ty jeszcze pamiętasz Zofję, Ty może nie zapomnisz o nią w Twoich modlitwach!

— Nigdy! rzekł Janusz.

— Nigdy! mówiła Xiężna — Tak i dawniej mówiłeś, tak przysięgłeś u ołtarza, a jednak! o Boże, jak się wszystko zmieniło. Na łożu śmierci, w godzinie skonania, nie chcę Ci czynić wyrzutów, lecz w cóż poszły moje nadzieje, w co poszło szczęście moje! Byłeś Ty dla mnie jakim przyrzekłeś? Tyś wziął Zofję i porzucił na pastwę samotności, cierpieniu, bez słowa pociechy, bez uśmiechu. Tyś o niej zapomniął, Tyś był przyczyną żem wierzyła w niebłogosławieństwo Boże nad nami! A! niech Ci to wszystko Bóg przebaczy, jak ja daruję i zapominam w tej chwili —

— Zofjo — ty mię obwiniasz, rzekł Xiąże, coraz bardziej poruszony —

— Nie, nie — zapomniałam wszystkiego, nie obwiniam Ciebie, przebaczam Ci moje cierpienie, i dziewięć lat łem samotnych! Tyś musiał służyć krajowi a zapomnieć żony; lecz Janie mój, tyś młody, jeśli ci Bóg da drugą

Zofję, którą weźmiesz pewnie niedługo, weź ją nie kochając, weź ją nie okazując jćj przywiązania! Weź ją jak matkę Radziwiłłom, nie za żonę sobie! Ty nie możesz mieć żony! Żona to druga połowa duszy męża, to jego cień; jćj potrzeba przywiązania, jćj trzeba słońca aby żyła. Jćj słońcem mąż i Pan którego wybrała, któremu przysięgła, dla którego porzuciła i wyrzekła się rodziców, domu, zaparła się imienia swego. Ty nie możesz mieć żony; weź tylko matkę Radziwiłłom; nie obiecuj przywiązania, bo nie dotrzymasz i zabijesz ją, jak mnie —

To mówiąc zakryła twarz rękoma i zapłakała. Xiąże płakał także i milczał. Uczuł on winę swoją i nie śmiał się nawet tłumaczyć.

— Wszystko zapomniane, wszystko przebaczone i jedna chwila, jedna łza Twoja zapłaciła dziewięć lat łez moich! Ja Ciebie nie obwiniam. Tyś wprzód był Radziwiłłem niż mężem, Ty potrzebujesz pokarmu dla duszy i sławy, bogactwa, wziętości, Ty tém żyjesz. — Weź taką którąby do życia wystarczyło sławy, oklasków, przepychu, którąby



szczęściem mógł być tytuł i znaczenie — Będziecie szczęśliwi! To moja rada ostatnia, Januszu i pożegnanie z Tobą. Zapomnij wymówek, przebacz jak ja przebaczam, proszę Cię przebacz mi wszystko idącój na lepszy świat grzesznicy. Każ się modlić za duszę moją, ojca i matki i dziadów! A jeśli możesz i Ty sam, zmów za mnie —

— Ty nie umrzesz Zofjo — zawołał Xiąże poruszony —

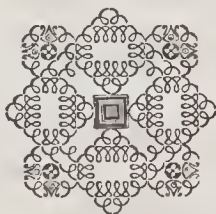
— O! umrę, umrę! czuję śmierć i nie lękam się jój. Cienie ojca i matki wołały mnie ku sobie, czas mi do nich, bądź zdrów na zawsze i przebacz mi wszystko.

Potém zamilkła znużona długim wysileniem, łzy jój kręciły się na oczach, oddech spieszny, ciężki, podnosił wyschłe piersi w których odzywała się chrypka przedśmiertna.

Xiąże spojrzał na nią, była blada i oczy miała zamknięte. Chciał powstać, ona go za rękę wstrzymała —

— Pobądź przy mnie, póki nie umrę! Daruj mi chwilę jeszcze. Mówcie modlitwy, bo życie ucieka.

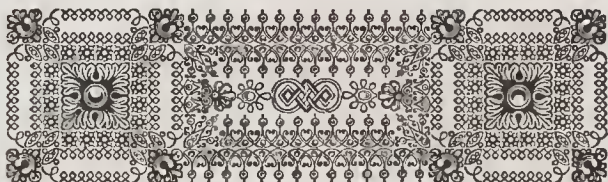
Teressa uklęka u łoża i głośno z płaczem odmawiała modlitwy nad konającymi. Xiężna leżała blada z oczyma zamkniętymi i nie puszczała ręki męża, którego stał obok smutny, ponury, milczący.



**X.**

**Xiążęta Słuckie.**





## X.

**Xiążęta Słuckie.**

**N**AD wieczorem bily dzwony wszystkich kościołów i Cerkwi miasta i wsi okolicznych; dźwięk ich rozchodził się w powietrzu razem z szumem jesiennego wiatru.

Xieźna Zofja Olelkowiczówna nie żyła — W Kaplicy zamkowej na katafalku stała otoczona gorejącami świecami jēj trumna, a przed nią tarcza z pogonią litewską i orłem Radziwiłłów; mnisi śpiewali, dzwony biły, świece gorzały, mąż płakał dwa dni w osobnej komnacie i sprawił pogrzeb wspaniały — a wkrótce; ożenił się z Elżbietą Zofją Xieźniczką Brandeburską.



Tegoż roku w zimie, dwóch podróżnych, zaszli zrana odwiedzić Cerkiew grecką, w Słucku. Jeden z nich był stary i pochyłony wiekiem, drugi ezerstwy jeszcze i młody. Obu strój skromny i czysty, okazywał uczciwą mierność. Starszy okryty był szubą lisią, młodszy siwą barankową bekiészą. Ukłękli przed ołtarzem i modlili się długo, potem stary powiódł oczyma po murach Cerkwi i dojrzawszy wyrytego świeżo złożonemi głoskami na tablicy marmurowej nagrobku, czytał go powolnie.

Nagrobek był następujący.

**D. O. M. S.**

Magnorum Litvaniae Dynastarum  
Propagini.

Ex Illustrissima Slucij ac Kopyli  
Ducum familia, Elcu ultimae

ZOPHIAE OLELKOVICIAE

Patre, Avo, Proavo, Georgio  
Abavo, Simone, Atavo Michaële  
In Slucko et Kopyle Ducibus

Tritavo Olelkoue

Jagellonis Poloniae Regis Fratre  
Olgerdi Magni Lithvaniae Ducis Nepote,  
Gedimini Pronepote  
Vitonij Abucpote,

Matre vero

Barbara ex Illustri Priscarum Familia  
Prognatae.

JANUSSIUS RADZIWIŁ.

Birżarum ac Dubincarum

In Slucko et Kopyle Dux  
Supremus Pocillator etc. etc.

Moestissimus. Conjunx Conjugi desideratissime,

Faeminae et genere, et forma, nec non

Virtute aevo suo clarissimae

Non absque lachrymis posnit.

Vixit Annos XXV.



Przeczytawszy ten, zwrócił się stary do drugiego nagrobku po rusku pisanego, tuż obok leżącego. Ten pokrywał zwłoki Xięcia Jerzego ojca Zofji. Przeczytawszy napis, ukląkł stary i ze łzami się modlił.

Właśnie ukończono liturgję i jeden z Xięży wychodzących dójrzał płaczącego u grobu starca. Zastanowił się, przybliżył, a szanując modlitwę i łzy, czekał z zapytaniem, aż starzec z pomocą młodego towarzysza swojego powstał. Naówczas Mnich go powitał.

— Znaliście tego, kogo ten kamień pokrywa? rzekł.

— Był to mój Pan, świeć Panie nad duszą jego, odpowiedział starzec powolnie, ostatni swojego rodu, Jerzy Olelkowicz, Xiąże Słucki! Na moich ręku on skonał, z jego łaski mam chleb dla siebie i dzieci — ze łzami pomodliłem się za niego.

— Nie zajdziecie do Klasztoru? spytał Mnich. Zapewnieście w podróż; nie odmówcie gościnności Mnichów.

— Dziękuję, rzekł stary, ale tu mi przypomniały się tak żywo dawne czasy, młodość



spędzona z Xięciem Panem, że teraz, kiedy już ród nawet wygasł, w kilkadziesiąt lat, nie mogę bez łzów patrzeć na ruinę, i gdybym tu pozostał dłużej, położyłbym się może, przy dawnym Panu. Póki człek nie patrzył, póki tylko wspominał, mógł jeszcze znieść; ale ten grób, ten grób i grób jego córki. biédnej tak młodo zmarłej. Trzebaż mi było dożyć, aby po ich mogiłach chodzić, mnie starcowi!

Znużony staruszek usiadł na kamieniu smętnym, a Mnich tuż przy nim, młody jego towarzysz stał z tyłu za niemi.

— I tak niéma już XXiążąt Słuckich, mówił dalej, niéma ich; ostatnią pogrzebliście bezdzietną — I dobrze się stało, mieli wielcy ludzie skarłowacić, lepić że ich ród wygasł ze szczętem. A wiecie Ojcie, jaki to ród był, i jaka krew?

— Słyszałem, rzekł Mnich, ale coś nie spełna, opowiadano o tém w mowach pogrzebowych!

— Napisano na nagrobku nawet, przerwał stary, ale pofalszowano genealogją, powiem szczerze Ojcie! Ktoś nieumiejętny pisał. Ja-

to znam ich historją, bom się jęj i nasłuchał i naczytał po kronikach.

— Nagrobek, pisał Ojciec Prokop —

— I napisał, Boże odpuść.

— Jak go naucz yli —

— Któż to Wasz Ojciec Prokop?

— To ja, miły Panie.

— Wy?

— I dla tego właśnie, radbym abyście mi powiedzieli co, o Xiążętach Słuckich, żebym się swego czasu, drukując pogrzebową mowę, mógł poprawić.

— Powiedziałbym Wam z duszy serca, rzekł stary, ale głowa moja dziurawa już, powy-  
latywało z niej co było mniéjszego, ledwie się co sporsze utrzymało, chybabyście sobie to połatali, gdzie z xiążkami —

— Mówcież tylko; a zawsze się to na coś przyda.

— To już pewnie wiécie, rzekł stary jakie jest pochodzenie Olelkowiczów, od Włodzimierza Olgerdowicza, Xięcia Kijewskiego, którego to Witold W. Xiąże Litewski wyrzucił z dzielnicy jego, zabrawszy mu Żyto-

miérz, Owruć i inne miasta; aż dopiéro za wstawieniem się brata Jagiełły, dano mu w zamian za Kijew, trzydzieści mil kraju, z Ropylem. Tutaj założył on miasto Słuck, oto gdzie jesteśmy właśnie.

Ten Włodzimierz syna miał Alexandra, z ruska Olelkiem zwanego, i od niego Olelkowiczami, a od Słucka, Xiążęty Słuckiémi, zwać się poczęli. Olelko wślawił się na wyprawach z Witoldem przeciw Moskwie, w których Kijewianom dowodził. Po śmierci Witoldowój, Litwini chcieli go nawet u Jagiełły na Wielkie Xięztwo wyprosić; ale Zygmunt posiadłszy je pod pozorem zmowy jakieś odebrał mu nawet dziedziczny jego Słuck i Ropyl, uwięził w Kiernowie, żonę zaś z dziećmi w Ucieanie i podobno ich tak trzymał póki żył, z której niewoli, dopiéro ich śmierć nagła Zygmunтова uwolniła. Po owym wypadku znowu pono na Wielkie Xięztwo, Olelka wiedli Panowie niektórzy, ale tak los chciał, aby nim nie był; powrócono mu tylko Xięztwo Kijewskie, które trzymał jeszcze lat dwanaście. Miał za sobą Xiężnę Moskw-

ską wnuczkę pono Witoldową, a z niej dwóch synów, Siemiona Xięcia Kijewskiego i Słuckiego Michała. Byli się oni poważnili o podział ojcowizny, którą między nich Król Kazimierz, tak podzielił, że Siemionowi całe Kijewskie, a Michałowi Kopylskie Xięztwo się dostało.

Nie będę dalej prowadził WMości ich rodu, bo się ztąd podzielił na dwie gałęzie, ale tylko znaczniejszych wymienię.

Siemion ów Olelkowicz, ośmnaście tylko lat mając, ledwie dorosły ze swojemi ludźmi tylko zebranemi na prędcę, zbił dwanaście tysięcy Tatarów pod Grodnem i tém taką sobie zjednał sławę, że go jak przedtém ojca wiedli na Wielkie Xięztwo i forytowali. Świećkier jego Jan Gastold pomagał do tego, ale Kazimierz Król lękając się podziału rządów nie chciał dozwolić, choć publicznie na którymś Sejmie, o to się dopominali Litwini. Umiérajac Siemion, wedle zwyczaju, posłał Królowi konia swego białego i łuk, z któremi nieraz Tatarów wojował, polecając mu w opiekę syna Wasila i córkę Alexandrę, po-

źniej Xięcia Ostrogskiego małżonkę! Już tedy i Kijewskie Xięstwo w prowincję zmienione, odjęte im zostało, siedli na Kopylu i Słucku. Niemniejsi przeto bohaterowie i każdy z nich, weźmieszli trzech Jerzych czy Siemionów, stawili się do boju w potrzebie ze swojemi ufcami. Jeden pod Lebiedziowem za ostatniego Jagiełły, dwa tysiące dwieście ludu swojego wiódł do boju — Inni do Inflant szli półki na potrzebę; a żaden krwi i majątności nie żałował!

Z Michała Kopylskiego Xięcia, nie mniejszych ród poszedł bohaterów! Siemiona syna jego wiedli jak innych na Wielkie Xięstwo, gdy Alexander wybrany został. On to nad Uszą pobił Tatarów na głowę, którzy rychło otrzymawszy posiłki tu go w Słucku oblegli, gdzie im się odpięrać nie mógł. Umarł, ale w żonie i synu dusza jego mieszkała. Anastazja sławna jest ze swego mężstwa, jakiego w kobietach rzadko? Syn Jerzy sześćnastoletnie dziecię, z Glińskim na on czas buntownikiem się mierzył, potem jak przodkowie jego uganiał Tatarów, których raz

osiem tysięcy na głowę zbił, potem czterdzieści wracających ze zdobyczą z Litwy poraził, rozproszył, i wodzów im trzech żywcem poobrał. Niemala część sławy dla niego, w zwycięstwie pamiętném pod Orszą; z Tatarów potem pod Łopuszną; pod Holszanicą, w Czernokassach, wszędzie zwycięzca się potykał.

I cóż się z tych wielkich ludzi zostało, mówił dalej starzec trzęsąc głową, kilka pisanych złotem kamieni, garść popiołu i kości, pamięci trocha u ludzi!

— Małoż to jeszcze? rzekł ojciec Prokop, małoż pamięci samój, gdy ona znikome życie przedłuża? Cóż więcćj chcecie od naszego świata i co on więcćj dać może!

— Wieczne im odpocznienie na lepszym i światłość wiekuista niechaj im tam świeci! rzekł stary wstając z kamienia.

— Amen — dodał Mnich pocichu.

KONIEC TOMU TRZECIEGO

I OSTATNIEGO.



## SPIS ROZDZIAŁÓW.



I. Piąty Lutego . . . . .	11
II. W gospodzie Malcherowej . . . . .	33
III. Szósty Lutego . . . . .	53
IV. Pokój czy wojna? . . . . .	71
V. Czekali do północy . . . . .	87
VI. Ciąg dalszy . . . . .	95
VII. W Brześciu Litewskim . . . . .	105
VIII. W lat dziewięć . . . . .	119
IX. Łoże śmierci . . . . .	133
X. Xiążęta Sluckie . . . . .	159



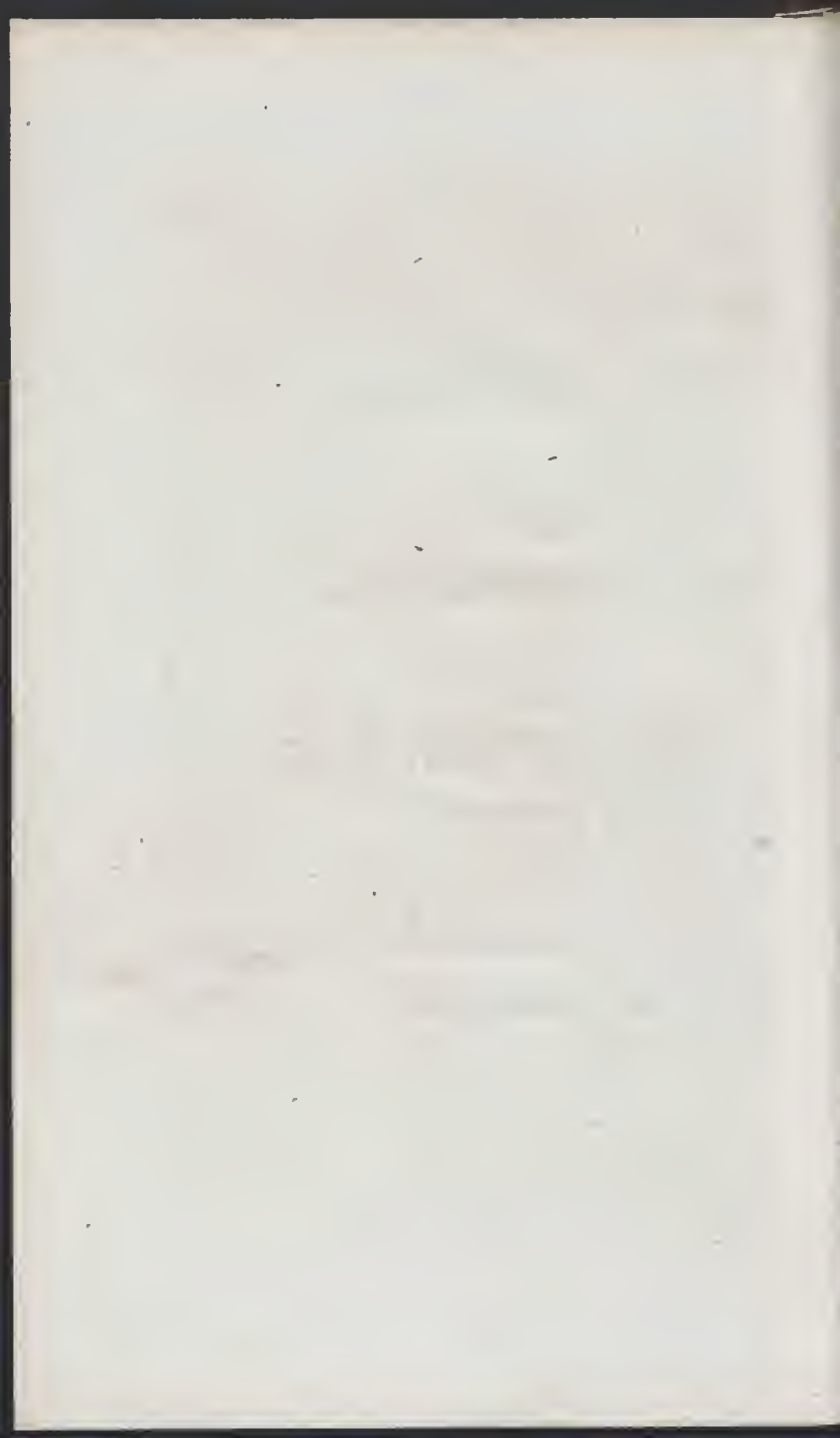


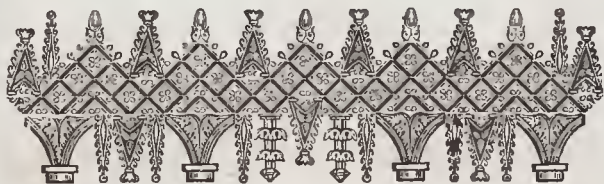


**DODATEK.**



**L e g e n d a.**





## Yako Sathan

### kusil pustelnika na puszczu.

Legenda lithora opowiedal Pan Mikolaj Kej  
z Naglovice u Pana Prazonki na Babinie (\*)

Pierwszy jeno krot trubny.

**K**iedy sie thak owo na thy duszne i  
graſki, a czudny zabaweczky wssystey  
po sczypcie zrzucać mamy y jać wam

---

(a) Pisownia nie jest całkowicie XVI wieku,  
lecz główne tylko ma ówczesne cechy. Dru-  
kowana ta Legenda w *Bojanie*. 1838 roku  
str. 93.

powiem jedną, przy Panu Reym z Nagłowice powstając, a śiwego muskając wąsa; alie mi dacie śliwek necke Pannie Stanisławie, żebym sobie gadając gardziele przecierał, a z garniec miodu Lubelskiego od Mathyasza z Winiawn, boć wiecie, że ja nie rad na czczo gadac poczne.

Skinał hnet Pan Pfonka, a pachotkowie mu wino i antypasthy z owocami przynieśli, ktore koley obiedłhy, przed Panem Reymem sie zastanowily. Dopieroż zabłyśczał mu on jego żartoczny żołądek przez oce, y tak prawić począł, często gardło płucząc, a przecierając.

Zabyłem gdziecz to czedł, bo rzecz nie mojej głowy, alboć to w żywociach Świe-

tych, ktory zową Legendy, albo mi to za sie ongi jaki klichy stary, co jesli nie Mnich z ambony w uſe kładł. A ta mi sie bajka czy prawda ſpodobała, ażem ją w pamietaniu zachował chocia bez ymion a mieſc właſnych, z kim i kedy sie to działo; a tho ſobie każdy dołożcie, jako ktory chce.

A miało sie tak:

Był ongi na puſzcze jedyn ſwiąthy puſtelniczek, trawiać dni ſwoje na rozmyſlaniu a modlitwyech, jako prawy Cenobitha. A był tak wielkim ſwojego ciała, ba wſelkien cielesności nieprzyjacielem, że żył ono znoſy a forzonkamiy jakie na oney puſzcze nandował pod nogi, nie bacząc na wygodę, cho-

dząc w skorze zwierzecey, bez wszelakiego schronienia a dachu nawet od słońcy żłety pory. Y był przyśledł do tego stopnia mocy nad sobą, iż w dumie swey powiedział duszy swojej.

— Otociem ja wolen grzechu, y żaden mnie sathan nie skusi na zło.

Rzekł tho, alisci gi Bóg usłył i zesłał nań czarta aby go kusił, a było mu ymie Mephistophilis, który jest yeden z duchow piekielnych abo starzych, a przeto przebiegleychy a chytrzychy od ynnych, yako tho theologom wyadomo. Y skrobał sye w głowe sathan a myślał yakoby gi pożył, y niewidział słabej strony, y zarzucć nie mógł w yego serce, z kąd by go ranił, tak sye on swia-

thy człowieczek od świata był odwiąztał. Aleć już go nie puścił ani na chwilę, tylko krok w krok za onym pustelnikiem chodził a śpiegował go. Wszakże długo bezskutecznie, bo głosu jego słyszeć nie mógł, a przeto serca pełna nieznął. Nie zraził się jednak sathan, a kończył swoje, y rok tak już z onym sariatym na puszcze przemierzał, począł moczniemych szukać środków ku pokuszeniu, aby go w utracie cnoty uwiodł.

A stało się tak, iż on światy człowiek wyszedł raz na brzeg lasu y modlił się patrząc na zachodzące słońce. A spodobał mu się widok świata, jakiego nie miał dawno. A był wieczor wio-

senny, wonicjący zióły i czudny, y ci-  
 chość yaka przed nocą bywa uroczysta  
 a dumanyom pochojna. Znienaczka wiece  
 za naprawą Eathanską, jak dumac prze-  
 stawky sye modlitwy on swiathy czło-  
 wiek, a cofając sie myśla młodość swoję  
 przypomniał. Bo yle razy człowiek  
 дума y rozważa w duszy swojey, zawse  
 wroci do wiosny życia, yako do źródeł  
 wracają wody po długim zakrencie,  
 obiegłszy prawie świat cały.

A tak przybyły mu na myśli info-  
 dy yego latha, yako sye wyhowywał  
 u pana rodzica swego y u drogię ma-  
 cierge swey, y odnowił mu sye w my-  
 śli pola oczyste, rowniny y niwy ktho-  
 rych był dawno dla Boga zapomniął



A zdało mu się jako by był mały i jakoby jeszcze na matczynych refu spoczywał, i zdało mu się słyszeć oycowskie napominanie i braci a siostrę życzliwość. Aż z myśli do myśli przyśledł do tego jako był chłopieciem, a oyciecz mu konia darował kłhory był mały, a cudnie rzęski, i znał go jako pies albo ptak hodowany właśnie.

A tak wspomnienia tey znowu serce jego ku ziemi skłoniły i jał żałować przeszłości swey i mimo wolei wyrwały mu się słowa.

— O gdybycz teraz mógł choć widzieć takiego konia!

A kathan kłhory go nigdy nie opuścił i okazał ono szukał, poleciał a

przyniosł konia z siadzeniem; takiego własny o jakim on swiathy wspomniał y w tej chwili pożałował. Zdumiał się swiathy człowiek ujrzawszy go przed sobą, alic się czartowskiej sztuki w tem niedowąchał, i myślał ano mu Bóg w ciężkiem żywocie zstał te nagrode; y jał Bogu dziękować a rozpłakał się jako dziecko na widok then y cały myślał w przeszłości się utopił.

Patrzył, obchodził, a oglądał konia y głaskał go ręką, całował a obłapywał jako był zwykły za młodu. Aż z oney pieśczoty, chęć go niepomierna wzięła przejechać się na nim trochę, y nie postrzegł się że dusza jego już się była od

nyeba dla zymiskien acz niewinney roskoſe oderwala.

U syadł na koń dw pustelnik, aż oto, bathan co sye był w konya przedzierzgnął aby go kusił, predkim lotem unyosł go w powyetrze, wysoko y thał bybko, że wprzód całą zymie, potym zaśie y ziemi już nie wyrzał. A że gi strach przeiał wielki i począł drżeć y myśleć czo sye z nim stało? a upamyetać sye nie mógł, myniąc że jest yako drugi Elyas żywcem do nyeba porwan.

W tym bathan, ozwał sye doń przez konya w kthorego sye był przedzierzgnął.

— Świathy człowiecze, pry, abocznyem nie skusił? A toć jest fortel bataaniski, a

teraz w mocy mojej jesteś y uczynny  
z tobą co sam żechce.

A on pustelniczek rzekł, drżąc wielmi.

— Cóżem ci uczynił, abyś mnie miał  
srodze przestydować?

— Sam to Pan, nie ja, zesłał mnie,  
przy czart, abym cie upokorzył, iż rzekłeś  
w dusze swojej, że nie masz grzechu, a  
Sathan mocy nad tobą.

Przyznane sły, iżem słaby, jako lu-  
dzka istota, rzekł swiātny.

— Aleć na tym niedość, bo w tym  
coś dotąd uczynił, niema grzechu, a na-  
do grzechu wprowadzić cie postanowiłem  
y niepuszczę cie, a o zycie rozbije z ten  
wyżyny upuściwszy, jeśli mi grzechu po-  
pełnić nie poprzysiężesz.

A swiaty jał gorzko pakać y lamem-  
tować mdwiac.

— O! na co mnie ty myli y ada-  
nia przywiody. Otdociem w refu atan-  
skim y grzechu blizko y utracę nycho, na  
ktorem całe ycie pracowa. Puć mnie  
atanje lub rozbij, a do grzechu nie wwie-  
dzie.

— Debrze, rzek czar, toć sie z tymi  
nie spieimy. A spjrz ono pod nogi  
swoye y obacz smierć ow o thor pro-  
si: A ukaza mu atan tuf swoy  
dyabelsk, prawie pod nogami yego,  
naprzd chmur y czarney strsliwy pyo-  
run w onych ukryte, a niey onych prze-  
gldajce skay ostre yako noe y naye-  
ony w gorę, a morze pod nimi. A uny-

rzawby to światy ów załakt sie wielmi  
y poczał y poczał trząść sie mówiąc:

— O Boże mój nie dozwoł mnie the-  
mu nieczystemu sathanowi do grzechu  
dowieść. A sathan śmiał sie y mówił.

— A toćś w reku moym y z onych  
nie wydzieś bez śwanku, albo cje oto  
rozgruchocze, tak że lat dziesięć y siedem-  
fróć dziesięć bedzieś padał z góry y wi-  
dział śmierć swoję co chwila, nizeli u-  
mrześ. Albo mi przysiąż iż zgrzebyś.

A światy z wielkiego przestradu po-  
czął mówić do sathana.

— Duchu nieczysty, ponieważ cje Bóg  
na moje upokorzenie zesłał, nakiegoż  
chceś grzechu po mnie?

— Oto, rzekł sathan nasniewając sje

niešťczęśliwemu, daje ci prze łaskę moją  
trzy grzechy do wyboru: pierwszy abyś  
się upił, wtóry abyś cudzą żonę na grzech  
przywiodł, trzeci abyś mężobójstwo po-  
pełnił.

A światy z onego obrzydzenia yafie  
myśl do grzechu począł się wzdragac  
y wołać.

— O Satany! azaliż ci niedość abyś  
mie do grzechu przywiódł, trzebaż ci  
jeszcze tak srogie y ciężkie występki da-  
wać mi do wyboru?

A on Mephistophilis przy na tho:

— Jesteś w mocy mojej, a przed  
się rób yako chcesz.

A myślał światy, a zdało mu się,  
że chocia piałstwo jest rzeczą bardzo

sprośną a grzechem wielkim, boć duszę naszą niesmiertelną plami i ona w sobie wrzkoćmo topi, jednakże rozumiał, aby to miał być z tych trzech grzechów namniejszych, i rzekł Satani.

— Ano kiedy taka wola Boża nade mną, wybieram piekło.

I rzekł mu Satan.

— Dobrze jest.

Abowiem widział już od tego grzechu wszelki inny jakoby ze źródła początek swobody bora, czego światy nie rozumiał, a nie spodział się. I rzekł mu Satan.

— Przyśiąż mi na duszę swoją, że ten grzech popełnisz.

A światy rzekł —



— Przysięgam.

Aż w owej chwili, koń i z nim spuszczać się począł lekko ku ziemi. A była już noc, ono rzeźne świecił a gwiazdy pałały na niebiesiech. Y powoli wyrzucił on ziemie, a na nich słyhało w miastach y po wsiach y ludzi jakoby mrówie przechodzące po niej. A potym uczuł dym ziemi y hum, gwar, helest, aż spuścili się, y staneli z koniem.

Pecz za sye nie na pustyni, alie w mieście a grodzie wielmi wielkim, przed samymi drzwiami a wrotyma gospody. A rzekł mu Batan.

— Wniydz y upij sie, abowiem znowa załes sie przysięga, a ja pilnować cje

bedę y krokiem cie nie odstąpię, aż grzechu dopeknię. A swiątch y rzekł:

— Alboż tak nagi wnide na posinięwisko do gospody?

Albowiem już go była bliskość swyżta myslami y wstydem swiadowym o-wionęła, a bathan ciejąc się rzekł mu:

— Oto odzienne cie w baty bogate y dam ci trzós w pasie ze złotem, abyś za grzechy twódy zapłacił.

A tak się stało, że on swiātch y wszedł do gospody upokorzony, myśląc o upadku a wielkiem nieścżęściu swym. A byli tam kupce, ktorzy za stołem syedzieli y pili y innych ludzi różnych wyeile, jako więc bywa w gospodzye, kedy różnego narodu schodzi się ciżba, a każdy w niej pan, kto

jeno płaci. Jedni rozprawiali o osukań-  
 swiech, drudzy o innych wsietecznościach  
 swoich, jako prawi hamnogrzesznicy, inni  
 bawili się z nyemnastami francymern S.  
 Marka [1] a wszystko się działo tak  
 skaradnie iż się serce światłemu pustel-  
 niczkowi na on wydoł wzdrygało. U  
 chętał był nawracać oną zgrane, lecz  
 wspomniawszy iż y sam nie był wolen  
 grzechu, a przyśedł aby go popełnić,  
 stał a milczał. Aż podyrzawszy na kuty  
 yego nadešla k niemu gospodyni domu  
 młoda a chedoga białogłowa, pytając  
 czego by pragnał. A on rzekł:

— Wina.

---

(1) Wyrażenie współczesne, niewiadomego  
 pochodzenia.

u posła ona kobieta y przyniosła mu go, dobrego a najlepszego.

Dwoż kiedy hippokrat dw z żelądką do głowy mocno skutkować a burzyć się począł, jako to wice u tych bywa, co same wode piją; swyat jakoby inszy stanął przed oczyma jego, że wszystką Mamonę pieknością, y zagasłe w sercu puśtelniczym żądania a myśli, jakoby cudowną moczą szatańską z korzenia odrósł. A tak pijąc ulubował sobie już piałństwo i co z początku mimo swej wolej czynił, to już kończył z ochotą y rozkoszą, aż drugi dzban onego przedniego wina podać rozkazał.

Tym czasem ona gospodyni kreciła się po izbie. A była młoda y hoża niewiasta

jakom rzekł, jako ony bywają co po go  
spodach siedząc, wymiowny bezcehotli-  
wy, żalotnicy prawie wdziękami swymi  
błędują.

A światy on wyrzął w oney wdzięki  
wszystki y dziwił się im i myślał szukał  
sposobu jakoby ich używał, tak go było ono  
wino odurzyło a Boga zapomnieć dało.  
Toż kupce i inni owi ludzie nacy byli  
w gospodzie na nocleg do konnych swych a  
wielbłądziej posz'i, inni po izbych się  
rozeszli; a on sam światy z gospodynią  
został, czem jeszcze śmiał się, a pretzły do  
grzechu a złego stał się.

A nareście, skuszony sam od czarta,  
skusił y sam niewiastę do wielkiego  
grzechu pieniężny, który mu był dał

czart. I stało sye, yż sie ukladli razem,  
a spali w grzechu. A ona niewyasta  
rzekła.

— Gdyby mąż a pan mōy powrōcił,  
zabijłby mnie.

I rzekł on swiātly ;

— Nie bōdź sie, boć nie przybedzie, a  
gdym przybył, ja cje obronie. I w tem  
pospali sie twardym snem.

Aż oto stuk sie zrobił wielki y swyaz-  
tko oczekając sie wyrzeli przed sobą, a  
nad łozem stał mąż oney białogłowy  
krzycząc a wywijając mieczem. On swia-  
ty ze snu porwawszy sie szukał czymby  
sie bronił, aż napadł toper pod ręką i  
tym machając na obie stronie, tak sie  
mężnie potykał, yż ciawszy przez głowe

meża niewyasthy, trupem gi położył. Toż  
 krzył powstał niezmierny y kupce, a lu-  
 dzye ony nocležanye sie zbyegli y sąsiady  
 y sedzhowije onego mhaſta y podchwycili  
 gi y zwhazali: A jemu yafoby nagle  
 otworzyły sie oće y wyrzał ſkarade swo-  
 ych grzechów y przypomniał hż za heden  
 kthören był przysiągł ſzatanu, trzy wszyt-  
 ki yafie żadał, popchnił. A wyelkim gło-  
 sem, yął płakać a narzekać, wołahac,  
 aby go na śmierć wyedziono było. A  
 opowiadał swoga historyą wszytkim, o  
 śmierć napreſzą proſząc, ktdrzy ulito-  
 wawſzy ſie wolno gi puscili. Z tad że  
 powrócił na puſzcze y płacząc a narze-  
 kając nad ſlepota swą Pana Boga Wy-  
 ſoſzczynego przebłagał, a z oczow ne-

go płynęły tży jako dwa poniki wody  
z pod górny.

Widzicie owo co to za grzechy pias-  
stwo, boć jest matką wszelakich sprośno-  
ści i widzicie iż naswiatszy powiedzieć  
nie ma w sercu swym:

— Otociem bez grzechu, a szathan  
niema moce nadenią.

Bo Bóg ukarze dumę jego i straci  
go między zbrodniarzy, abowiem niema  
ciała bez zmazny, a poki ono dusza w cie-  
le, rzec nie może.

— Utrzymam się bez grzechu.

Bo bez zmazny y grzechu, Bóg tylko  
y angiółowie jego.





---

## NOWE DZIEŁA

*Nakładem i drukiem Xieęgarni pod firmą*

**Józefa Zawadzkiego**

*w Wilnie wydane.*



**Obraz bibliograficzno - historyczny literatury i nauk w Polsce, od wprowadzenia do niej druku po rok 1830 włącznie, z pism Janockiego, Bentkowskiego, Ludwika Sobolewskiego, Ossolińskiego, Juszyńskiego, Jana Wincen. i Jerzego Samuela Bandtków, wystawiony przez A. JOCHERA.**

Prenumerata na to dzieło ciągle się przyjmuje po rub. sr. 2 k. 40 na tom każdy, a r. sr. 3 z pocztą. Ktokolwiek odtąd na to dzieło prenumerować zechce, złoży rub. sr. 4 kop. 80 za Tom I. skończony i II. będący pod prassą, a z przesłaniem pocztą r. sr. 6.

**Słownik Łacińsko - Polski**, na wzór najcelniejszych Europejskich Słowników, a mianowicie nowego wydania Forcelini, Freundta, Schellera, Pasowa, i t. d. przez Xiędza FLORJANA BOBROWSKIEGO ułożony, z dodaniem wyrazów do nauk medycznych służących przez *Professora F. Rymkiewicza*. Wydanie drugie zupełnie przerobione, i znacznie powiększone we dwóch Tomach in 8vo górá sto arkuszy ścisłego i pięknego druku w wielkim formacie zawierając mających. Tomu Igo Część Isza i IIga już wyszły z pod prassy, trzecia równie też niebawem wyjdzie. Cena tak przystępna prenumeraty rubli srebrem 4 kop. 20 zostawia się tylko do zupełnego ukończenia Części 3ciej i ostatniej Tomu Igo. — Pożniej dla znacznego powiększenia dzieła podniesie się do rub. sr. 5, a nakoniec po wyjściu Tomu 2go, już niezawodnie za dwa Tomy rubli srebrem 6 nastąpi.

### **DZIEŁA J. I. KRASZEWSKIEGO.**

**1). Historja Wilna** OD POCZĄTKÓW JEGO DO ROKU 1750 zawierająca historję wypadków, jakich ten starożytny grod litewski, w ciągu kilku wieków doznał, kolei przez jakie przeszedł, historję wszystkich świątyń, klasztorów, znakomych publicznych gmachów, zakładów dobroczyn-

nych, bram i murów miejskich, słowem wszystkiego co tylko do tego miasta odnosić się może.

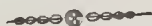
Całe dzieło zawrze 4ry Tomy, na weliuowym papierze drukiem pięknym i wyraźnym. — Cena prenumeraty na 4ry tomy rub. sr. 8, która po skończeniu dzieła znacznie podniesioną zostanie.

- 2). Szkice obyczajowe i historyczne:** pod tym tytułem, zamierzył J. I. KRA-SZEWSKI, wydawać najcenniejsze romantyczne utwory swoje już to historycznej już obyczajowej treści. Następne wyszły już z pod prassy:
- Powieść 1sza *Całe życie biedna* 1 Tom r. sr. 1.
- Powieść 2ga. *Mistrz Twardowski* z podań gminnych 2 Tomy in 8vo. . . . . r. sr. 2.
- Powieść 3cia. *Pan Karol* Szkic fantastyczny 1 Tom . . . . . kop. 75.
- Powieść 4ta. *Historja o bladėj dziewczynce z pod Ostrėj Bramy* 1 Tom . . . . . r. sr. 1.
- Szkic 5ty. *Stańczykowa Kronika od r. 1500—1503*, 1 Tom . . . . . kop. 75.
- Powieść 6ta. *Cztery Wesela* z dodatkiem Improwizacji fantastycznej *Było nas dwoje* 2 Tomy ozdobione 3ma rycinami . . . . r. sr. 2 k. 25.
- Powieść 7ma. *Poeta i Świat* 2 Tomy in 8vo. . . . . r. sr. 2.
- Powieść 8ma. *Ostatnia z Nieszczęśliwych* 3 Tomy in 8vo. . . . . r. sr. 3.

**Obrazy Litewskie** Sceny z życia potocznego przez IGNACEGO CHODŹKĘ 2 Tomy in 12. na dobrym papierze, zawierające następne powieści: *Domek Mojego Dziadka — Boruny — Śmierć Mojego Dziadka — Ostatnia Sessja Exdywizji — Samowar — Powrót Dziedzica.* — Cena 2 Tomów r. sr. 1 k. 25.

**Obraz Myśli Mojéj** na pamiątkę żonie i dzieciom przez FLORJANA BOCHWICA, Część 1sza i 2ga in 8vo . . . . . r. sr. 1 k. 20.  
(Część 2ga sprzedaje się osobno po kop. sr. 60).

**O ukształceniu duszy czyli wychowaniu moralném** przez MICHAŁA CHO-ROSZEWSKIEGO. Wydanie ozdobne in 12mo na welinowym papierze, cena . . . . . k' sr. 60.



Biblioteka Raczyńskich

**JK 790**



JK0790